Rok X. Kwiecień 1904. Nr. 4.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY POLITYCE NARODOWEJ

ORAZ ZAGADNIENIOM ŻYCIA SPOŁECZNEGO, EKONOMICZNEGO I UMYSŁOWEGO.

Redakcya i Administracya: Kraków, ul. Jabłonowskich, 9.

ORGANIZACYA OPINII.

W ważniejszych chwilach życia narodowego — a taką jest niewątpliwie obecna — opinia ogółu, zwłaszcza opinia rozbita siłą faktu na trzy dzielnice, a w jednej pozbawiona wszelkiego nieskrępowanego wyrazu, ogląda się za pewną dyrektywą, pragnie jej i pożąda, a skoro tylko uzna jej wartość rzeczywistą, przyjmuje jej wskazania, chociażby źródłem ich była instancya nie przez wszystkich za powołaną uznana. Poczucie potrzeby jednolitości i zwartości opinii jest tak silne wobec konieczności zajęcia stanowiska narodowego nazewnątrz, że góruje niemal na innemi potrzebami chwili: stąd złagodzenie instynktowe różnic i antagonizmów wewnętrznych, ale stąd także silne, również instynktowe wystąpienia przeciwko wszystkiemu, co się z pod tej jednolitości narodowej wyłamuje lub wyłamać pragnie. Jest to zjawisko nietylko normalne, ale jedynie normalne, świadczące, że jesteśmy pomimo wszystko społeczeństwem, a nie kupą piasku lub stosem rozebranego materyału budowlanego, że jesteśmy ponadto na drodze do zostania społeczeństwem zdrowem i dojrzałem.

Powiedzieliśmy wyżej, że ogniskiem krystalizacyjnem opinii może nie być instancya przez wszystkich za powołaną uznana. Nietylko tak być może, ale w naszych warunkach — tak być musi. Instancyi z ciała, z ducha i z formy do tego powołanej nie tylko nie mamy, ale mieć nie możemy.

W krajach żyjących pełnią narodowego i politycznego życia rolę taką spełnia w normalnych warunkach rząd, około którego w chwilach przełomowych skupia się wszystko co jest zdrowego i żywotnego. Fakt tak zdawałoby się jasny, prosty i bezsporny, że w naszem położeniu nikomu rola podobna z prawa

przypaść nie może, że społeczeństwo polskie musi pod tym względem stwarzać sobie ośrodki własne — nie jest jednak dla wszystkich zrozumiałym.

Istnieją sfery, które w swem nieprzepartem, a zrozumiałem skądinąd pragnieniu normalnego politycznego życia, zamiast dążyć do wytworzenia podobnych ośrodków, zastępujących nieistniejące funkcye państwowe przez funkcye samego społeczeństwa, stwarzają sobie fikcye stosunków normalnych i żyją w urojeniach legalnego bytu.

Niema szkodliwszego czynnika w polityce nad fikcyę, choćby to była fikcya legalnej reprezentacyi narodu przez swój własny rząd, nawet konstytucyjny, wtedy gdy dążenia tego rządu a świadome i głębokie dążenia społeczeństwa idą w kierunkach rozbieżnych: rezultatem będzie zawsze neurastenia społecznego organizmu. Ale fikcya normalności położenia, gdy naród nie posiada własnej organizacyi państwowej, lub fikcya legalności, gdy jej granice i formy nie przez społeczeństwo samo zostały nakreślone, lecz narzucone z zewnątrz, wbrew jego interesom i dążeniom, — takie fikcye wkraczają już w dziedzinę szkodliwego obłędu.

Bezpośredniem ich zastosowaniem w życiu jest twierdzenie, jakobyśmy już mieli legalną i prawną reprezentacyę narodową w Kole polskiem w Berlinie i w takiemże Kole sejmowem w Galicyi. Pomijamy już kwestyę, czy i o ile ciała te, wypływające z obcej narodowi naszemu organizacyi państwowej, rzeczywiście reprezentują dążenia społeczeństwa polskiego i niemi kierują, co, jak zaznaczyliśmy wyżej, nawet w państwach regularnie ukonstytuowanych niezawsze się zdarza. Przypuśćmy że tak. Ale żadne z tych ciał, powołanych jedynie do czynności prawodawczych, niema swego odpowiednika przeznaczonego do czynności wykonawczych, nie jest więc organizacyą narodową, wrośniętą w społeczeństwo i kierującą jego krokami, jak organizacya państwowa, nie posiada bowiem żadnej, nawet nieprzymusowej egzekutywy. «Żeby mieć władzę, mówi słusznie p. Jan Żółtowski [1]), trzeba mieć osoby rządzące nie od parady, aby mieć takowe, trzeba albo posiadać bardzo silną formę rządu i egzekutywę, albo też ideę przewodnią tak potężną, żeby ona za sobą pociągała i sobie podporządkowywać

---

[1]) W artykule »Stronnictwa w Wielkopolsce« *Czas* z 8 kwietnia r. b.

umiała ludzi i ich interesa». Koła polskie nie posiadają pierwszej z natury swego stanowiska, ale nie posiadają również i drugiej, i to było wieczną przyczyną słabości ich roli w społeczeństwie.

Co ważniejsza, oba te ciała są instytucyami czysto dzielnicowemi, nie mogą więc w żadnym razie być uważane za przedstawicieli narodu poza sprawami miejscowemi każdego z zaborów. Piękne wystąpienie galicyjskiego Koła sejmowego w sprawie wrzesińskiej nietylko nie osłabia tego zastrzeżenia, ale je potwierdza, nosiło bowiem wszystkie cechy enuncyacyi w sprawie silnie naród obchodzącej, a jednak zamiejscowej.

Dwie te reprezentacye musiałyby utrzymywać stały i ciągły kontakt ze sobą, aby mogły spełniać funkcyę ogniska krystalizującego opinię i to dwóch tylko dzielnic, a więc niecałej połowy narodu. A zabór rosyjski? Czy za wyraz jego narodowych dążeń mają być przyjęte, jak dotąd niejednokrotnie usiłowano to uczynić, wyniki jakichś tajemnych konszachtów przedstawicieli tych ciał z pierwszym lepszym członkiem jednej z licznych warszawskich koteryj, magnatem nie mającym za sobą nic prócz nazwiska lub firmowymi kierownikami *Kraju*? Czy to mają być legalni lub choćby tylko faktyczni przedstawiciele opinii narodowej w zaborze rosyjskim? Tak zaimprowizowana instancya mogłaby tylko skompromitować ciała przedstawicielskie dwóch zaborów w oczach opinii zaboru trzeciego, jak dziś — najbardziej, bo bezpośrednio, dotkniętego wypadkami chwili.

Opinia narodu, jeżeli nie ma być czysto formalną i fikcyjną, nie może się unosić w powietrzu, nie może być myślą od ciała oderwaną, ale musi tkwić korzeniami swymi w samem społeczeństwie, być duchowym wyrazem jego istotnych funkcyi i życia, słowem musi się opierać na jego organizacyi. Wyraz rzeczywistej opinii nie jest platoniczną enuncyacyą bez następstw, ale wskazaniem, które środkami moralnymi ma sobie posłuch zapewnić. Taką siłę egzekutywy, choćby faktycznej posiadać tylko może organizacya. Gdyby tej w zaborze rosyjskim nie było, mielibyśmy już do dziś dnia za sobą nietylko chaos sądów i ferment ogólny, ale najbardziej rozbieżne, nie skoordynowane wybuchy czynów: manifestacye, starcia z władzami, akty wiernopoddańcze i przeciwstawiane im akty przeciwne.

Czynnikiem krystalizującym opinię była tu niewątpliwie odezwa Ligi Narodowej. Nie potrzebowała się ona narzucać społeczeństwu, bo sama była wyrazem opinii najzdrowszej jego części i łatwo pociągnęła za sobą ogół, bo stała za nią organizacya, zdolna zapewnić zawartej w odezwie myśli politycznej posłuch śród żywiołów narodowo niekarnych [1].

Zwolennicy bezwzględnej legalności nie mogą dotąd pogodzić się myślą, że czynnikiem w życiu narodowem może być samorzutnie zawiązana organizacya obywatelska, a w dodatku «nielegalna i tajna».

O nielegalności tu nie mówmy: nielegalnym jest sam fakt istnienia w zaborze rosyjskim opinii narodowej polskiej, skoro w prasie cenzuralnej wyrazić się jej nie wolno, nielegalną jest wszelka organizacya obywatelska o charakterze choć cokolwiek politycznym; kto więc uznaje szczerze potrzebę jednej i drugiej, jeżeli nie chce karmić się fikcyami legalnego położenia, musi pogodzić się z ich istnieniem. Co się tyczy tajności, to zarzut jej, przez ciekawą niekonsekwencyę, wysuwany bywa równolegle z zarzutem, że Liga Narodowa zbyt otwarcie mówi o tem, co robi i jakiej się trzyma polityki. Idzie więc tu chyba nie o tajność działań i zamiarów, ale o brak firmy osobistej. Otóż wszędzie, gdzie istnieje szeroka i ugruntowana organizacya, firma osób kierujących schodzi na plan drugi, a na pierwszy wysuwa się charakter organizacyi, jej program, taktyka, tradycya i działalność, a te są wiadome każdemu, kto szczerze pragnie je poznać u źródła.

W istocie rzeczy wielu najzawziętszych przeciwników Ligi Narodowej i jej wpływu na opinię nie dlatego przeciwko niej występuje, że jest nielegalną lub tajną, ale dlatego, że jest o r g a n i z a c y ą. Tu tradycye indywidualizmu i bezładu polskiego, rządzonego przez oligarchię, podają rękę nowszym tendencyom politykowania bez udziału społeczeństwa, załatwiania najważniejszych spraw narodowych na drodze poufnych narad i zakulisowych porozumień, na drodze intrygancko-spiskowej, tej najgorszej postaci tajności. Sfery, uważające się za powołane do kierowania opinią narodu w zaborze rosyjskim, umieją jak da-

---

[1] *Czas* w artykule p. t. »Z psychologii rozstroju«, twierdzi wprost przeciwnie, że Liga sama ulega żywiołom niekarnym. Odpowiadamy na to w »Przeglądzie prasy«.

wniej rządzić się w społeczeństwie, ale nie umieją rządzić społeczeństwem, bo bez programu odpowiadającego jego istotnym dążeniom i bez organizacyi rządzić niem niesposób. I to im właśnie nie na rękę, że podobna organizacya istnieje, że przez nią występuje na widownię polityka prawdziwie demokratyczna i narodowa i bije samozwańcze politykowanie oligarchów. Gdyby jej nie było, żywioły wyrosłe nie nad społeczeństwem ale obok niego narzuciłyby dawno ogółowi coby im się podobało, korzystając z barbarzyńskich stosunków politycznych, a ogół ten, pozbawiony organizacyi, byłby wobec nich bezwładny i bezsilny. Dziś organizacya narodowa ich ubezwładnia. *Inde irae.* Oniby woleli widzieć społeczeństwo w postaci zatomizowanego tłumu, niezdolnego do jakiegokolwiek samodzielnego postępowania, toby im bowiem zapewniało monopol akcyi, bez kontroli, bez konkurencyi, bez opozycyi. Gdyby opozycya taka, nieskoordynowana, odruchowa, wybuchła tu i owdzie żywiołowym ruchem tłumu, oniby poprostu nie przyjęli za ten fakt odpowiedzialności!

Czasy jednak samozwańczej polityki jednostek i koteryj bezpowrotnie minęły, a społeczeństwo polskie, nawet w zaborze rosyjskim, zbyt jest dojrzałem, aby mogło żyć sproszkowane i rozbite nietylko wobec potęg wrogich, ale również wobec niepowołanych rzeczników dążeń obcych jego duchowi. Społeczeństwem pozbawionem organizacyi kierować można tylko metodami demagogicznemi: zastraszać, podniecać, obiecywać, uderzać w struny uczuciowego sentymentalizmu, rozbudzać nieziszczalne nadzieje w jednym kierunku, a równocześnie siać zwątpienie w drugim. Takiej też metody trzymają się żywioły, potępiające wszelką narodową organizacyę. Również w walce z przeciwnikami puszczają w ruch wypróbowane sposoby demagogiczne: o ile w stosunku do siebie żądają subtelnych rozróżnień i ścisłości, o tyle wobec przeciwników operują najgrubszemi szablonowemi pojęciami, przeinaczają zasadnicze myśli, sieją insynuacye, karykaturują perspektywę faktów, nie gardzą fałszem i kłamstwem. Jest to rzeczywiście harmonijne dopełnienie akcyi pedagogicznej rządu rosyjskiego pod względem wynaturzania politycznego naszego społeczeństwa.

Metoda podobna, należąca do najniższego typu działań politycznych, polega właśnie na zabiciu tego, co się nazywa świadomą, zrównoważoną, konsekwentną opinią społeczeństwa, jest

panowaniem nad tłumami, które się lada chwila zamienić może na panowanie tłumów, zrywających narzucone sobie papierowe tamy.

Nie w organizacyi społeczeństwa tkwi niebezpieczeństwo, ale w braku organizacyi, w zatomizowanej masie. Organizacya powołana do życia nie w imię doktryny, czczych przewidywań lub celów przyszłych, ale w imię ciągłej, systematycznej, planowej pracy narodowej, jest i będzie zawsze najcenniejszym dobytkiem społeczeństwa, a narody pozbawione wszelkich legalnych funkcyj politycznych, jeżeli nie są zdolne jej wytworzyć, nie są wogóle zdolne do samodzielnego życia. Tylko ludzie nie widzący przed sobą żadnej drogi wyjścia, żadnych owoców swej dorywczej pracy, nie mający nic politycznie do stracenia, mogą być skłonni do bezplanowych porywów i niewczesnych wystąpień, bez żadnych realnych zdobyczy na widoku. Każda zaś organizacya posiada nietylko instynkt samozachowawczy ale i na dłuższą metę obliczony plan działania, a im jest silniejsza, tem mniej poddawać się może odruchom. Przeciwnicy jej twierdzą, że istnieje zawsze niebezpieczeństwo, aby ruch żywiołowy nie wyrósł jej ponad głowę, ale niebezpieczeństwo jest stokroć groźniejszem wtedy, gdy ferment nie znajduje w społeczeństwie żadnej organizacyi stałej i stwarza ją sobie na poczekaniu na użytek własnych odruchów. Stałe formy działalności publicznej i pracy narodowej, wrośnięte w grunt realnego życia, są nietylko najskuteczniejszym środkiem zapobiegawczym przeciwko panowaniu tłumów i nieskoordynowanym ich ruchom, ale jedyną rzeczywistą ich przeciwwagą.

Opinia godna tej nazwy, a więc nie będąca tylko wyrazem uczuć lecz myśli politycznej, bez organizacyi istnieć nie może. Chwilowy nastrój, wywołany demagogicznymi środkami, będzie conajwyżej przemijającym surogatem rzeczywistej opinii, ale miarodajne jej wskazania wytwarzać mogą tylko zastępy zszeregowane dla ciągłej twórczej pracy, zaprawione do wspólnego czynu, ożywione wypróbowaną w działaniu myślą polityczną.

NOWY OKRES W DZIEJACH ROSYI.

II.

Podjęcie olbrzymiego zadania na Wschodzie wywrzeć musi głęboki wpływ na całe życie państwowe Rosyi, a nawet na charakter narodu. Nie wiedział on dotychczas, co to jest wytężona, trudna obrona zagarniętych na Wschodzie obszarów, co mu dało możność zwrócenia się na zachód, zajęcia się podbojem ludów wyżej od niego cywilizowanych. W swej dążności do zasymilowania tych ludów, przedewszystkiem zaś Polaków, starał się on najprzód sprowadzić je na swój nizki poziom cywilizacyjny, niszcząc wyższe pierwiastki ich kultury i ta działalność niszczycielska stała się na długi czas głównem zadaniem państwa i narodu nawewnątrz. Skłonności niszczycielskie, odziedziczone po hordach wschodnich, które Moskwę politycznie i duchowo wykształciły, nie zanikły w wielkiem życiu państwowem, ale pogłębiły się raczej skutkiem tego, że się okazały przystosowanemi do zadań państwa. I popęd niszczycielski stał się tak silnym, iż nietylko jest narzędziem polityki państwowej, tam gdzie odpowiada jej celowi, ale jest głównym bodźcem moralnym, górującym nad wszystkiem, działającym nawet tam, gdzie interes narodu i państwa nakazywałby raczej budować, niż niszczyć.

Obecnie, chcąc się utrzymać na Wschodzie, Rosya będzie musiała zastosować kosztowne środki obronne oraz rozwinąć wytężoną działalność twórczą i organizującą. Jeżeli naród dzisiejszych zaborców i niszczycieli podoła temu zadaniu, które musi pochłonąć najlepsze jego siły, to stanie się niewątpliwie narodem dzielnym, przedstawiającym wysoką, pozytywną wartość cywilizacyjną.

Ale czy okaże się do dokonanania tego dzieła zdolnym?

Jeżeli zadania, otwierające się obecnie przed Rosyą na Wschodzie, ogromem swoim przewyższają wszystko, co jej rząd dotychczas podejmował, to z drugiej strony obecny stan rządu rosyjskiego czyni go mniej niż kiedykolwiek zdolnym do podołania poważnym trudnościom.

Dla nikogo dziś nie jest tajemnicą, że forma rządu rosyjskiego — *samodierżawije*, znajduje się już w okresie degenera-

cyi. Rząd ten nie ma już nawewnątrz dawnej siły i pewności siebie, nie czując odpowiedniej podstawy w stanie umysłów; nie umie on już nawet z dawną konsekwencyą i surowością bronić swej powagi i nie jest zdolen stłumić głosu opozycyi, wreszcie coraz wyraźniej występują w nim starcze choroby despotyj — chaos u góry i korupcya na całej linii. Nigdy rozbrat między rządem a społeczeństwem nie dawał się czuć tak silnie, w żadnej też wojnie jeszcze nie było tego, ażeby tak szerokie sfery czysto rosyjskiego ogółu życzyły swemu państwu przegranej. Społeczeństwo rosyjskie w swej większości bodaj tak dalekie jest od solidaryzowania się ze swym rządem, iż nawet wojnę obecną, z naszego punktu widzenia broniącą żywotnych interesów Rosyi, uważa za przedsiębiorstwo wyłącznie rządowe. Jeżeli też Rosya na azyatyckim terenie jest pod względem wojskowym słabsza od Japonii, to o wiele większą jeszcze jej niższość stanowi to, iż rząd w tej wojnie nie czuje się należycie popartym przez opinię, pozbawiony więc jest tego, co w wojnie jest najważniejsze, mianowicie siły moralnej. Fałszując ostatnimi czasy wszystko — stan swej armii na Wschodzie, swoje finanse i wartość aliansów zewnętrznych, próbował on i rosyjską opinię sfałszować, organizując manifestacye «patryoczne». Robota ta wszakże wypadła zbyt karykaturalnie i przeważnie jej zaniechano.

Rząd rosyjski, taki jakim jest obecnie, nie jest już zdolny do podjęcia trudniejszych zadań państwowych. Przed Rosyą leży alternatywa: albo aspiracye reformistyczne okażą się dość silnemi i w państwie nastąpi w krótkim stosunkowo okresie polityczny przewrót, albo żywotność polityczna społeczeństwa okaże się niedostateczną i wtedy będziemy świadkami długiego, stopniowego rozkładu samowładztwa, a z nim rozkładu potęgi państwowej — jak to widzimy w despotyach wschodnich, w Chinach, Persyi i Turcyi. Do tego, żeby przewidywać odrodzenie samowładztwa, niema najmniejszych danych. Wyższość Japonii, która zreformowała swe państwo na sposób europejski, będzie dla Rosyan ważną wskazówką, jaką mają wybrać drogę.

Jeżeli tedy Rosya ma podołać zadaniom, wytworzonym przez dzisiejsze położenie rzeczy na Wschodzie, musi obalić *samodierżawije*, musi odświeżyć machinę państwową, wzmocnić prawidłowość jej funkcyj przez publiczną kontrolę, wreszcie otworzyć pole samorzutnej energii i inicyatywie społeczeństwa.

Tylko wydobycie wszystkich sił z narodu może go uczynić zdolnym do obrony swego stanowiska wobec niebezpiecznego azyatyckiego wroga. Wprawdzie ogół rosyjski dość powszechnie nie rozumie dziś korzyści polityki wschodniej i nie chce się z nią solidaryzować, ale nie można wątpić, że obdarzony prawami i dopuszczony do udziału w polityce państwowej, bardzo prędko zrozumiałby jej znaczenie i polityka konstytucyjnej Rosyi nie zboczyłaby wiele od linii, wytkniętej przez Rosyę autokratyczną.

Jest rzeczą niewątpliwą, iż w dziejach Rosyi zaczyna się nowy okres. Zaczyna się on bez względu na to, czy nastąpi reforma ustroju państwowego, czy nie, bo istotę jego stanowi zmiana położenia rzeczy na Wschodzie, zmuszająca Rosyę do zwrócenia się w tę stronę głównym frontem.

Po okresie, w którym Rosya widziała swe główne zadanie w rozszerzeniu swego panowania na Zachodzie, dziś otwierają się zadania całkiem przeciwne. Ale czy dawniejsze można uważać za spełnione?...

Zachodnia granica państwa carów nie ma kształtu normalnego — nie oparła się o Karpaty, nie zajęła przyległego pomorza Bałtyckiego, a rysunek jej czyni ją niezmiernie trudną i kosztowną pod względem strategicznym. Tyle nazewnątrz.

Jeszcze mniej zrobiono nawewnątrz. Pomimo olbrzymich wysiłków rusyfikacyjnych, pomimo gwałtów, okrucieństw i barbarzyńskiego niszczycielstwa, wszystkie zagarnięte ziemie pozostały nadal obcemi Rosyi pod względem narodowym. Nietylko Finlandya, której rusyfikacyę zaczęto dopiero w latach ostatnich, nietylko kraje Nadbałtyckie i nietylko Królestwo Polskie, rusyfikowane forsownie od lat 40-tu, zachowały swą całkowitą odrębność, ale nawet Litwa, owa *iskoni russkaja ziemlia*, opracowywana rozmaitemi metodami od czasów Katarzyny II, nie stała się rosyjską i żywioł polski w tym kraju czeka tylko na jakie takie rozluźnienie pęt, ażeby pokazać, iż on jeden zdolny jest poprowadzić zniszczony kraj po drodze ekonomicznego i cywilizacyjnego postępu. Czy w obecnie rozpoczynającym się okresie, kiedy przed Rosyą otwierają się nowe, o wiele trudniejsze zadania, rusyfikacya tych ziem pójdzie łatwiej? Czy tem bardziej można o niej marzyć, gdy dziś ludy, które się chce zasymilować, wykazują coraz wyższą świadomość narodową i z coraz większą siłą bronią swej samoistności?...

Ludzie dość często rozumują w ten sposób, że jeżeli naród na jednym froncie ciężką prowadzi walkę, to z drugiego musi się cofać, bo mu na dwa fronty nie starczy energii. Jest to rozumowanie dosyć fałszywe. Narodowi żywotnemu, zdrowo rozwijającemu się nie zbraknie energii do walki na wszystkich możliwych frontach. Ale jest inna przyczyna, która przy walce na jednym froncie każe się z drugiego wycofywać.

Jeżeli Polska, zmuszona zwrócić się ku Wschodowi, zaniedbała swe zachodnie dzielnice, straciła Ślązk i nie zdołała się oprzeć o Bałtyk, to nie dlatego przedewszystkiem, żeby jej energii brakło (bo ten brak nie występował jeszcze tak wyraźnie w dobie, kiedy te sprawy zostały stanowczo rozstrzygnięte), ale że przewagę w polityce Rzeczyposolitej otrzymały te żywioły, które były bezpośrednio zainteresowane w zdobyczach wschodnich, a korzyści z polityki zachodniej nie odczuwały i nie rozumiały. Jeżeli dziś słyszymy ciągle głosy, że trzeba zwrócić całą energię narodu do walki z Niemcami, na zachodnim froncie, a Moskalom dać spokój, to dlatego przedewszystkiem, że skutkiem jawności życia politycznego w dwóch dzielnicach zachodnich, przewagę w opinii polskiej otrzymały te właśnie dzielnice, bezpośrednio odczuwające straty na rzecz Niemców, nie umiejące zaś odczuć ani ocenić strat ponoszonych przez zastój życia narodowego i unieruchomienie narodowych sił pod wpływem ucisku rosyjskiego. Jeżeli też dzisiaj Rosya prowadzi z coraz większą zawziętością kosztowne dzieło rusyfikacyi na Zachodzie, nawet tam, gdzie nie ma ono żadnych widoków powodzenia, to dlatego w znacznej mierze, iż długi okres roboty rusyfikacyjnej wytworzył na zachodzie olbrzymi zastęp biurokracyi, bezpośrednio w tej robocie zainteresowanej, która, zdobywając coraz silniejszy wpływ na politykę państwa, pcha ją coraz bardziej w tym kierunku, angażując ją w Finlandyi, w tak niebezpiecznej chwili dla rosyjskiej polityki na innych frontach. Ta właśnie biurokracya, zapatrzona w niszczycielską robotę *objedinienija* na Zachodzie, okazała się niezdolną do zrozumienia potrzeb wschodnich obszarów państwa, zaniedbała je, nie podjęła leżących tam oddawna przed Rosyą zadań, nie rozwinęła działalności twórczej — i dopiero w ostatniej chwili, kiedy niebezpieczeństwo zbyt wyraźnie stanęło przed oczy, rzuciła się do roboty zapóźno, ażeby módz wynagrodzić długie lata niedbalstwa.

O ile Rosya nie wejdzie na drogę dobrowolnego wycofywania się z Azyi — czego przypuścić prawie niepodobna — o ile zdobędzie się na olbrzymie wysiłki, potrzebne do umocnienia się na Wschodzie, to w polityce jej coraz większą przewagę mieć będą żywioły, zainteresowane bezpośrednio w sprawach wschodnich, żywioły mające dziś jednego z pierwszych przedstawicieli w ks. Uchtomskim. W miarę wzrastania ich wpływu, polityka rosyjska coraz bardziej będzie musiała podporządkowywać widoki zachodnie interesom wschodnim. Należy przewidywać, iż konsekwencyą tego będzie stopniowe słabnięcie naporu rosyjskiego na zachód, mogące doprowadzić, choć prawdopodobnie niezbyt prędko, do wycofywania się z tych stanowisk, na których dziś tak zajadle się pracuje nad zaszczepieniem rosyjskiej kultury. Gdy walka o Daleki Wschód stanie się osią rosyjskiej polityki, gdy zainteresowane w niej bezpośrednio żywioły zaczną na tę politykę przeważny wpływ wywierać i naginać całą działalność państwa do potrzeb tej walki — może przyjść chwila, iż Rosya będzie musiała uznać za ważniejsze finansowe wyzyskanie zachodnich ziem państwa, niż powodzenie roboty niszczycielsko-rusyfikacyjnej, zwłaszcza gdy powodzenie to będzie coraz wątpliwsze wobec rosnącej energii narodowej społeczeństwa polskiego i innych prześladowanych żywiołów. Pod tymi wpływami i ze względu na widoki polityki zewnętrznej, Rosya na Zachodzie, przedewszystkiem względem Polaków, przedstawiających główną siłę między jej obcymi żywiołami, może się znaleźć prędzej niż dziś to przypuszcza wobec potrzeby kompromisu. Uznanie tej potrzeby niełatwo jej przyjdzie i niejedną pewnie będzie musiała dostać gorzką naukę, ale przebudzenie się świeżych sił narodowych w społeczeństwie polskiem nie jest zjawiskiem efemerycznem, i w niedługim czasie wytworzy ono szereg faktów, które prędzej czy później wywrą znakomity wpływ pedagogiczny na rosyjskich mężów stanu.

Do skorzystania z położenia Rosyi w tym nowym okresie jej państwowego bytu jest powołany przedewszystkiem nasz naród i skorzysta tem prędzej, im więcej wykaże wyraźnej świadomości swych interesów, wytrwałości, energii i rozumu politycznego, im skuteczniej wreszcie będzie umiał ubezwładnić nawewnątrz te politycznie zwyrodniałe, lekkomyślne lub nieuczciwe żywioły, które przy każdej, pierwszej lepszej sposo-

bności rzucają się Rosyi w objęcia, licytując *in minus* cenę, za którą może ona posiąść nietylko spokój polityczny w naszym kraju, ale nawet objawy przyjaźni i uległości ze strony jego społeczeństwa.

Gdybyśmy się okazali społeczeństwem politycznie biernem, to z tego nowego położenia Rosyi największe korzyści wyciągnęłyby Niemcy. Jeżeli zaś wystąpimy jako żywioł czynny, to korzyści będą zapisane na nasz rachunek, nietylko kosztem Rosyi, ale i Niemiec, dla których najmniej ze wszystkiego pożądane jest odrodzenie polskości, jako samoistnego czynnika politycznego na szerszej arenie.

Są u nas ludzie, których system politycznego myślenia polega na tem, iż we wszelkich rachubach politycznych gotowi są liczyć się z aspiracyami, wolą, siłą wreszcie wszelkich, najmniej nawet wartych i najsłabszych żywiołów, tylko nie liczą własnego narodu, nie uważając go za organizm żyjący i czynny, ale za jakieś rumowisko, które byle kto może rozgrzebywać i przegarniać, jak mu się podoba. Ci ludzie życzą Rosyi, żeby się jak najrychlej uporała z wrogami na Wschodzie i mogła na zachodnim froncie jak najenergiczniejszą rozpocząć politykę, bo w obawie przed niebezpieczeństwem niemieckiem w niej widzą jedyną siłę zdolną przeciwstawić się Niemcom. Chcąc się umocnić w tym sposobie widzenia rzeczy, zamykają oni oczy na fakt, że siły swej na zachodzie Rosya używa przedewszystkiem do zgniecenia naszego narodu, czyniąc to w znakomitem porozumieniu z Niemcami.

My zbyt wierzymy w siebie, w siły narodu polskiego, ażebyśmy na osłabienie jednego z jego wrogów patrzyli jedynie jako na wzmocnienie drugiego. W obecnej dobie naszego życia narodowego, w dobie szybkiego wzrostu sił naszych i odrodzenia myśli politycznej polskiej, osłabiona na Zachodzie Rosya ustąpić musi miejsca nam, nie zaś Niemcom. I jakkolwiek Niemcy z chwilowego układu stosunków politycznych mogą niezawodnie dziś skorzystać, to jednak osłabienie pęt, krępujących ruchy głównej masy naszego narodu, mogące być następstwem zmian w położeniu Rosyi, wzmocni polskość wogóle, podniesie jej energię i w walce z Niemcami. A przecie tylko od tej energii zależą losy naszej narodowości w zaborze pruskim. Jeżeli trzyma się ona przeciw nawale niemieckiej, to chyba nie zawdzięcza tego Rosyi, ale wyłącznie samej sobie.

Ewolucya polityki rosyjskiej w kierunku wschodnim może w przyszłości zmusić ją nawet do zaniechania wszelkiej polityki słowiańskiej na Zachodzie. Dla nas i to jest pożądane, bo wtedy kuzyni nasi będą musieli spojrzeć na nas łaskawszem niż dzisiaj okiem i, nie chcąc się oddać na łaskę i niełaskę Niemców, w nas będą musieli szukać oparcia.

Przeniesienie środka ciężkości polityki rosyjskiej na Wschód — to w oczach naszych otwarcie pola dla polskości na Zachodzie. I z tego względu patrzymy na Japonię jako na istotne «państwo wschodzącego słońca«.

R. Dmowski.

SZKOLNICTWO LUDOWE I NIŻSZE W ZABORZE PRUSKIM.

Wcielenie Polski do trzech różnych organizmów państwowych pociągnęło za sobą pewne przystosowanie się ludności polskiej każdego z zaborów do odmiennych form politycznych. Wskutek tego Królewiakowi częstokroć trudno zrozumieć niektóre cechy Poznaniaka, a każdy z nich znów niejednokrotnie ze zdziwieniem spogląda na pojęcia lub zwyczaje Galicyanina. Gdyby to przystosowanie nadal postępować miało, to możnaby żywić obawy, czy nie staniemy się z czasem trzema odrębnymi organizmami narodowymi, których jedyną wspólnością byłby język oraz dawniejsze tradycye historyczne. Do takiego rozluźnienia węzłów wspólności narodowej przyczynia się w znacznej mierze wpływ szkoły państwowej. Umysł dziecka nagina się z łatwością do pojęć wpajanych w szkole, a jeszcze bardziej przesiąka właściwościami metod i systemów szkolnych, które wyciskają silne piętno na pokoleniu, na jednej ławie szkolnej siedzącem. Tem zaś silniejszym będzie ten wpływ tam, gdzie szkoła jest oparta bezpośrednio na idei państwowej, nie mającej bynajmniej na celu przystosowania się do ustroju duchowego ludności.

Rozumiemy ogólnie niebezpieczeństwo, wynikające z obcej,

w trzech kierunkach rozbieżnej, w żadnym wypadku nie narodowej szkoły, i mamy coraz wyraźniejszą świadomość, że wpływowi temu przeciwdziałać należy przez dopełnianie wychowania szkolnego pracą domową w kierunku narodowym. Dzięki zorganizowanej pracy w tym duchu, dziś młodzież z trzech zaborów coraz lepiej się rozumie między sobą i coraz lepiej ogarnia myślą całość narodowego życia. Chcąc wszakże zwalczać należycie wpływ systemu szkoły państwowej, trzeba przedewszystkiem zdać sobie sprawę z siły strony przeciwnej oraz z charakteru tej szkodliwości. Trzeba z możliwą gruntownością poznawać szkolnictwo obce na naszym gruncie, oceniać jego wartość w stosunku do naszych potrzeb i jego charakter, w porównaniu z ogólnym systemem szkolnym danego państwa.

Na tem miejscu zajmiemy się jedynie porównaniem stanu szkolnictwa w zaborze pruskim ze stanem jego w całej monarchii pruskiej. Cyfry, służące za podstawę naszych obliczeń, czerpiemy ze statystyki urzędowej pruskiej, która za bezwzględnie ścisłą o tyle uważaną być nie może, że niema w niej danych co do rozdziału narodowości w obrębie Prus. Jedynie jest uwzględniony podział językowy, przyczem stworzoną została rubryka t. zw. dwujęzycznych, którzy podają jako język ojczysty, a właściwie domowy, niemiecki i polski lub niemiecki i mazurski, lub wreszcie niemiecki i kaszubski. Przy obliczaniu zaś ogólnego stosunku Polaków do Niemców przyjmuje się na podstawie rzekomo logicznego wniosku, że połowę tych dwujęzycznych dolicza się Polakom, połowę zaś Niemcom. Słuszność tej metody jest bardzo wątpliwa, a wynik w większości wypadków z pewnością wypada na korzyść Niemców. Również możnaby mieć poważne wątpliwości, czy materyał statystyczny nie jest ze względów politycznych fałszowany. Tutaj przedewszystkiem zaznaczyć musimy, że subtelne bardzo wyróżnianie Kaszubów i Mazurów z pomiędzy Polaków wogóle [1])

---

[1]) Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że rządowi pruskiemu zależało przy przeprowadzaniu spisu ludności w r. 1900 na zaakcentowaniu różnicy między Kaszubami i Mazurami z jednej strony, a Polakami z drugiej. Widocznem jest to z dwóch momentów tego ostatniego spisu. Najprzód w r. 1890, kiedy poraz pierwszy uwzględniano przy spisie język ojczysty *(Muttersprache)*, obliczano te trzy grupy razem, gdy tymczasem w r. 1900

o tyle tylko przez nas pominiętem być musi, że gdy idzie o szkolnictwo w zaborze pruskim, łączyć nam wypada bezwarunkowo te trzy kategorye w jedną całość narodową Tu dodamy dla wyjaśnienia, że ogólnie nazwą zaboru pruskiego oznaczamy, bez względu na historyczne pojęcie zaboru, ziemie zamieszkałe przez Polaków w obrębie czterech prowincyj pruskich, a mianowicie: Prusy Wschodnie, Prusy Zachodnie, Wielkie Księstwo Poznańskie, oraz Górny Ślązk, który tworzy jeden z obwodów rejencyjnych prowincyi śląskiej, a mianowicie obwód opolski. W pozostałej części Ślązka spotykamy dwa powiaty z większością polską (sycowski i namysłowski), poza tem mniejsze lub większe tylko wyspy narodowe polskie.

Na obszarze tych czterech prowincyj żywioł polski przedstawia się tak, że jedynie w Poznańskiem stanowimy większość, a mianowicie 61% ludności; w Prusiech Zachodnich stanowimy 35%, na Ślązku (branym jako całość, bo Górny Ślązk na znacznym obszarze należy do najczystszych etnograficznie ziem polskich) 24%, wreszcie w Prusiech Wschodnich 15%. Jeżeli weźmiemy pod uwagę mniejsze jednostki administracyjne, mianowicie obwody rejencyjne *(Regierungsbezirke)*, to się okaże, że mamy większość w trzech obwodach: poznańskim i bygdoskim, to znaczy w obydwóch obwodach prowincyi poznańskiej, oraz w obwodzie opolskim prowincyi śląskiej. W obu obwodach Prus Wschodnich ludność polska, aczkolwiek względnie nieliczna — w obwodzie gąbińskim 15·8%, królewieckim 14·5% — mieszka zwartą masą i w szeregu sąsiadujących ze sobą powiatów tworzy większość.

Cyfry faktyczne oraz stosunkowe wskazuje poniższa tabelka, zestawiona według spisu ludności z 1-go grudnia 1900 roku:

---

jak najdokładniej dla każdego powiatu zbierano i oddzielano Kaszubów i Mazurów od Polaków. Następnie najwidoczniej dążono do wyśrubowania ilości Kaszubów i Mazurów kosztem ilości Polaków. Różnica między tymi dwoma spisami tak się przedstawia:

	W r. 1890	W r. 1900	Przyrost
Niemców	26,367.355	30,383.089	+15.2%
Polaków	2,765.101	3,063.490	+10·8%
Mazurów	102.941	142.047	+38·0%
Kaszubów . . .	54.433	100.212	+84·1%
Ogólna ludność .	29,957.367	34,472.509	+15·1%

	Ogół ludności	Liczba Polaków	Procent Polaków	Liczba Niemców	Procent Niemców
I. Prusy Wschodnie	1,996.626	298.964	15%	1,589.133	79.6%
1. Obwód królewiecki	1,204.386	174.326·5	14·5%	996.134·5	82·7%
2. Obwód gąbiński	792.240	124.887·5	15·8%	592.998·5	74·8%
II. Prusy Zachodnie	1,563.658	546.321·5	35%	1,016.294	65%
3. Obwód gdański	665.992	184.774·5	27·7%	480.460·5	72·1%
4. Obwód kwidzyński	897.666	361.547	40·3%	535.833 5	59·7%
III. Poznańskie	1,887.275	1,162.538·5	61·6%	723.765	38·3%
5. Obwód poznański	1,198.252	809.051·5	67·5%	388.459	32·4%
6. Obwód bygdoski	689.023	353.487	51·3%	335.306	48·7%
IV. Śląsk (cały)	4,668.857	1,141.473	24·4%	3,420.729·5	72%
7. Obwód opolski	1,868.146	1,083.410·5	58%	642.190	34·4%

Jak wiadomo, Prusacy na podstawie obliczeń statystycznych stawiają zarzut ludności polskiej, zamieszkałej w obrębie Prus, że kulturalnie niżej stoi od ludności niemieckiej. Czy zarzut ten wogóle jest słusznym, trudno bardzo stwierdzić. Pojęcie kulturalności jest samo w sobie bardzo względnem i należałoby przedewszystkiem zapytać, co pod kulturalnością rozumiemy. Z jednej strony o kulturalności obyczajowej wnosić można z zamiłowania do porządku, czystości, ze stopnia poszanowania praw i tym podobnych cech społecznych zewnętrznych. Z drugiej jednak strony wiemy, że niższy stan kulturalny pod względem obyczajowym i spolecznym nie wyłącza bynajmniej wysokiego poziomu kultury duchowej, przejawiającej się w prawdziwym patryotyzmie, zamiłowaniu oświaty, w wyższym polocie moralnym i umysłowym, odczuwaniu potrzeb narodowych i t. p. Twierdzenie więc Prusaków najmniej daje się dowieść za pomocą cyfr statystyki szkolnej, która w ostatecznym wyniku do zupełnie innego rodzaju wniosków nas doprowadza.

Jednem z zasadniczych obliczeń statystyki szkolnej jest obliczenie ilości klas normalnej szkoły ludowej w stosunku do ogółu mieszkańców, oraz do ilości dzieci w wieku szkolnym będących, t. j. w wieku od lat 6 do 14.

Obliczając, ile klas szkolnych wypada przeciętnie na 10.000 mieszkańców danej jednostki administracyjnej, nie otrzymamy dla prowincyj polskich wcale cyfr tak bardzo źle świadczących w tym względzie. Nawet Poznańskie wykazuje na równi z Pomorzem najwyższą cyfrę w porównaniu do innych prowincyj państwa pruskiego. Cyfra ta wynosi 35 klas na 10.000 lu-

dności, gdy tymczasem to samo obliczenie dla całego państwa daje średnią cyfrę 30 klas. Obliczenie to, w zestawieniu dla obwodów rejencyjnych, zwłaszcza śląskich, jest nieco mniej korzystne, lecz i tu obydwa obwody poznańskie wykazują również cyfrę 35 klas na 10.000 ludności.

Ważniejszem jednak jest obliczenie, ile wypada klas szkolnych na 10.000 dzieci w wieku przymusu szkolnego. I tu rzeczywiście okazuje się, że cyfry dla naszych dzielnic są niższe, niż dla innych prowincyj, a zwłaszcza obwodów państwa. Prusy Wschodnie wykazują 156 klas szkolnych na 10.000 dzieci w wieku od lat 6 do 14, Prusy Zachodnie — 165, Poznańskie — 176. Obliczenie to dla poszczególnych obwodów najwięcej o upośledzeniu dzielnicy polskiej świadczy. Obwód królewiecki posiada 154 klasy na 10.000 dzieci, gąbiński — 158; gdański — 161; kwidzyński — 169; poznański — 173; bydgoski — 180; wreszcie opolski — 153, gdy tymczasem sąsiadujące z Górnym Śląskiem obwody wrocławski i lignicki przedstawiają cyfry 201 i 207 klas.

Cyfry powyższe mogłyby na pierwszy rzut oka wydawać się dla nas niekorzystnemi, gdyby ilość szkół oraz klas szkolnych była zależną od bezpośredniego zapotrzebowania oświaty przez ludność samą. Tak jednak nie jest w żadnym razie, bo szkoły otwiera i prowadzi rząd, utrzymuje zaś gmina przy pewnej nieznacznej finansowej pomocy ze strony państwa. Jeżeli więc w danych prowincyach lub obwodach stosunek ilości klas szkolnych do ogółu ludności lub tej do ilości dzieci, które obowiązuje przymus szkolny, jest niekorzystny, to przynajmniej w równym stopniu odpowiada za to ludność sama, jak i władza, która zakładania szkół nie forsuje widocznie, pomimo że twierdzi o niższości kulturalnej ludności, a więc o potrzebie oświaty.

Ażebyśmy łatwiej powiedzieć mogli po czyjej stronie wina, odpowiedzmy naprzód na szereg innych pytań, z którychbyśmy mogli ocenić, w jakiej mierze Polacy ze szkół ludowych korzystają, oraz jak szkoły ludowe pruskie ilościowo obowiązkom swym zadośćczynią. Przedewszystkiem porównajmy, ile dzieci polskich a ile niemieckich uczęszcza do szkoły ludowej w dzielnicy polskiej, w stosunku do liczby ludności tych grup narodowych. Poniższa tabliczka zawiera odpowiednie cyfry pod tym względem:

Prowincya:	Ilość Polaków	Liczba dzieci polskich, uczęszczających do szkół ludowych	Stosunek pro 1.000	Ilość Niemców	Liczba dzieci niemieckich, uczęszczających do szkół lud.	Stosunek pro 1.000
I. Prusy Wschodnie	298.964	72.411	242	1,589.133	255.970·5	161
II. Prusy Zachodnie	546.321·5	107.364·5	197	1,016.294	168.015·5	165
III. Poznańskie	1,162.538·5	227.230·5	195	723.765	119.354	165
IV. Śląsk	1,141.473	231.198·5	203	3,420.729·5	555.352·5	162
Obwód:						
1. Królewiec	174.326·5	41.759	240	996.134·5	156.161	157
2. Gąbin	124.887·5	30.652	245	592.998·5	99.809·5	168
3. Gdańsk	184.774·5	35.144·5	190	480.460·5	72.573·5	151
4. Kwidzyń	361.547	72.220	200	535.833·5	95.442	178
5. Poznań	809.051·5	161.786	200	388.459	61.881·5	159
6. Bydgoszcz	353.487	65.444·5	185	335.306	57.472·5	171
7. Opole	1,083.410·5	221.989·5	205	642.190	121.457·5	189

Z tabliczki tej widzimy, że na 1.000 Polaków przypada znacznie większa ilość dzieci polskich, uczęszczających do szkół ludowych, niż odpowiednio u Niemców. Cyfry nawet różnią się tak znacznie między sobą, że trzeba tu dla objaśnienia dodać odrazu pewną uwagę. Dotyczy ona mianowicie płodności — cechy ludu polskiego. Statystyka ludności wykazuje, że dzieci polskich jest wogóle więcej, niż niemieckich, nadto trzeba w danym wypadku przyjąć pod uwagę, że emigracya przyczynia się do zmniejszenia stosunkowego liczby dorosłych Polaków, gdy tymczasem emigracya oraz kolonizacya powiększa ilość dorosłych Niemców. A swoją drogą cyfry powyższe są o tyle większe dla Polaków, że wolno jest z nich wnioskować, iż dzieci polskie co najmniej w równym stopniu do szkoły uczęszczają, jak niemieckie. Wniosku tego nie obala również obliczenie, które wykazuje ten sam stosunek dla szkół niższych wszelkiego rodzaju. Tuby się nawet zdawać mogło, że wobec znacznie lepszych warunków materyalnych i ekonomicznych ludności niemieckiej we wschodnich prowincyach pruskich, Niemcy znacznie liczniej posyłają dzieci swe do szkół nieco wyższego typu, niż normalna szkoła ludowa. Lecz i w tej ogólnej sumie otrzymamy cyfry wyższe dla ludności polskiej. Niestety statystyka ta przeprowadzona jest tylko w stosunku do prowincyj:

Prowincye	Polacy: Liczba dzieci uczęszczających do szkół niższych	Polacy: Stosunek tych dzieci na 1.000 mieszk.	Niemcy: Liczba dzieci uczęszczających do szkół niższych	Niemcy: Stosunek tych dzieci na 1.000 mieszk.
I. Prusy wschodnie	72.658	243	276.646	174
II. Prusy zachodnie	108.312	198	181.805	179
III. Poznańskie	230.858	199	131.102	181
IV. Ślązk	232.972	204	583 572	171

Widzimy więc, że argumenty rządu pruskiego i Niemców co do braku potrzeby oświaty u nas na tem obliczeniu opierać się nie mogą. Zobaczmy tedy, czy szkoła pruska spełnia liczebnie swe zadania w takiej mierze, by wrogowie nasi mieli prawo powiedzieć, że to my oświaty od nich nie chcemy, a nie, że oni jej nam nie dają. Że szkół w dzielnicy polskiej państwa pruskiego jest zamało, dowodzi przepełnienie tych szkół. Statystyka wykazuje, ile wypada dzieci na jedną klasę szkolną w danej jednostce administracyjnej. Przeciętną cyfrą dla całego państwa jest 56 dzieci na jedną klasę. Tymczasem w obwodzie opolskim znajdujemy, że w szkołach miejskich wypada po 65 dzieci, a w wiejskich po 64 na jedną klasę. Pod tym względem gorsze stosunki panują z całych Prus jedynie w miejskich szkołach obwodu monasterskiego (Münster w Westfalii), bo 69, oraz w wiejskich szkołach obwodów: düsseldorfskiego — 66 i tegoż monasterskiego — 65. Norma państwowa wynosi dla szkół miejskich 56 dzieci, a dla wiejskich — 54. Normę tę przewyższają z naszych obwodów: szkoły miejskie w obwodzie gdańskim (57), kwidzyńskim (58) oraz opolskim (65), a szkoły wiejskie w obwodzie poznańskim (54, t. j. tyle co przeciętnie w państwie), gdańskim i kwidzyńskim (55), królewieckim (59), gąbińskim (60) oraz opolskim (64). Charakterystycznem jest zestawienie tych cyfr dla trzech obwodów prowincyi śląskiej: w szkołach miejskich znajdujemy w obwodzie wrocławskim i lignickim przeciętną 54 dzieci na klasę, w opolskim zaś wygórowaną liczbę 65; jeszcze jaskrawiej występuje ten stosunek w szkołach wiejskich, bo w obwodzie lignickim wynosi liczba dzieci na klasę 43 (najmniej z całego państwa), a we wrocławskim — 44, gdy w opolskim, jak to już wyżej powiedzieliśmy, jest ich 64.

Nielepiej się przedstawia zapobiegliwość rządu pruskiego w dostarczaniu nam swej państwowej wiedzy, jeśli stwierdzimy

ile dzieci wypada na jednego nauczyciela. Norma państwowa w szkołach miejskich wynosi 57 dzieci na jedną siłę nauczycielską. W obwodzie opolskim wypada w miastach aż 66 dzieci na pruskiego szulmajstra. W szkołach wiejskich przeciętna dla całych Prus jest 68, a to dzięki temu, że właśnie opolski obwód obciąża przeciętną 77 dziećmi, a poznański 86-oma! Nie chce się wprost wierzyć, że w jednym organizmie państwowym znajdujemy takie obwody obok np. Berlina, gdzie na jednego nauczyciela wypada 49 dzieci, lub obwodu stralsundzkiego i szlezwickiego, gdzie w szkołach wiejskich nawet znajdujemy tylko 52 dzieci na nauczyciela. Trzeba jednak przyznać statystykom pruskim, że obliczenia swe zestawiają bez względu na to, co z nich wyczytać można. Bo oto mówią sami, że normalnymi warunkami szkolnymi nazywają te, gdzie w szkole jednoklasowej wypada na klasę najwyżej 80 dzieci, w szkołach zaś o większej ilości klas — 70 dzieci, w szkołach wreszcie t. zw. półdniowych — najwyżej 60. Oczywiście to postawienie kwestyi wypływa z pojęć statystycznych jedynie, bo pedagogia zapatruje się inaczej na tego rodzaju maksymalne stosunki. Już wyżej wspomnieliśmy, że w Berlinie wypada na jednego nauczyciela 49 dzieci i tyleż na każdą klasę, nie zadawalnia to jednak opinii publicznej, która dziś bez różnicy nawet przekonań politycznych uważa, że dążyć należy przynajmniej do zmniejszenia tej liczby aż do 40 dzieci najwyżej, jeżeli chodzi istotnie o pożytek nauki.

Statystyka wykazuje, ile w każdej prowincyi jest szkół przepełnionych: — oto z wyjątkiem prowincyi nadreńskiej, gdzie ich jest 14, znajdujemy w Brandenburgii, Saksonii pruskiej oraz Westfalii po 2, w Szlezwigu tylko jedną, nadto w Hanowerze 4 i na Pomorzu 5, ale za to w Prusiech Wschodnich 7, Zachodnich 15, na Ślązku 20, a w Poznańskiem nie mniej niż 78! Tak samo przedstawia się ilość dzieci, nieprzyjętych do szkoły z powodu przepełnienia: we wszystkich prowincyach z wyjątkiem trzech cyfra nie przekracza 125, a nawet w prowincyi nadreńskiej wynosi zaledwie 170, gdy na Ślązku było w r. 1901 odrzuconych dzieci *457*, a w Poznańskiem — *1.705!* A że to o polskie dzieci chodzi, wnosić możemy stąd, że na 20 przepełnionych szkół śląskich jest 18 w obwodzie opolskim, a na 457 dzieci nieprzyjętych wykazuje ten obwód 448!

Powyższe zestawienia cyfrowe są tak jasne, tak przejrzy-

ste, że nawet najzaciętszy nasz wróg przyznać nam musi, że z nich naszej niższości kulturalnej wyczytać w żaden sposób niepodobna. Wydawaćby się stąd mogło, że rząd i władze pruskie powinny raz wreszcie zrozumieć, że teorya ta przez cyfry obaloną została. A jednak frazes ten powtarzany jest z tak nieubłaganą konsekwencyą, że wszyscy weń wierzą, a bodaj nawet i między nami samymi wieluby się takich znalazło. Z drugiej znów strony musimy przyznać, że rząd zakłada w polskiej dzielnicy szkół coraz więcej, bo się od nich — nie bez słuszności — skutecznej germanizacyi spodziewa. Dlaczegoż jednak szybkość ta w rozszerzaniu oświaty żółwim krokiem się mierzy? Dlaczegoż tak uporczywie się twierdzi, że to Polacy sami oświaty nie pragną? Jak zwykle gramy i tutaj rolę kozła ofiarnego, gdyż wystarcza rozejrzeć się w stosunkach ekonomiczno-społecznych Prus dzisiejszych, by przyczynę tego zjawiska natychmiast odsłonić.

Cała dzielnica polska w obrębie Prus stanowi część wybitnie rolniczą państwa, a z wyjątkiem Górnego Ślązka prawie zupełnie pozbawioną przemysłu. Żywioł politycznie panujący stanowią tu pruscy junkrowie, po większej części będący podstawą stronnictw wstecznych, agrarnych, arystokratycznych. Dziś, gdy pod wpływem rozwoju przemysłu, zwłaszcza na zachodzie Prus, polscy robotnicy hurmem porzucają pracę na wsi, w nędznych postawioną warunkach, dla pracy w fabryce, — ci panowie prowadzą walkę z rządem, by nie dopuścić do otwierania szkół, które wraz z oświatą zasadniczą, choć nawet niemiecką, wpajają w polskie dzieci mimowolnie przekonanie, że w takich warunkach pozostawać dłużej nie można. Stąd pochodzi, że rząd pruski, chociaż w celu germanizacyi radby szkoły pomnażać, spycha winę za ich brak na nasze barki, na naszą «niższą kulturę», bo musi zasłaniać podpory tronu pruskiego od słusznych zarzutów, stawianych jednomyślnie przez wszystkie te żywioły w Prusiech, które, czy to dla germanizacyi nawet, czy też dla samej zasady szerzenia oświaty, żądają rozwoju szkolnictwa w dzielnicach polskich.

My na tę walkę wstecznych junkrów z hakatystycznym lub niehakatystycznym liberalizmem możemy patrzeć do pewnego stopnia obojętnie. Jeżeli szkół nam dawać będą więcej, to więcej przeciwdziałać musimy ich duchowi, jako sprzecznemu z naszemi narodowemi potrzebami i dążeniami. Jeżeli zaś Pru-

sacy nie zechcą nam swej nader problematycznej kultury szkolnej udzielać, to musimy sami sobie szukać dróg, by wzmagającą się potrzebę oświaty i siły duchowej wśród nas samych zaspakajać. W tych warunkach, w jakich się znajduje ludność polska w zaborze pruskim, praca ta jest najważniejszem naszem zadaniem chwili obecnej.

St. Dobiński.

WALKA O PANOWANIE NAD AZYĄ.

II. PANAZYATYZM.

Ruch, o którym pod właściwą i niewłaściwemi nazwami tyle się dziś mówi i pisze, ma niewątpliwie nietylko polityczny, ale i ogólno-ideowy charakter. Nas jednak w danym wypadku obchodzi przedewszystkiem jego strona polityczna.

Jako ruch ideowy, musi on mieć i ma istotnie swoich marzycieli i fanatyków, śmiale uogólnienia i zuchwałe plany. Kierownicy polityczni jego mogą się nawet fantazyami temi posługiwać, sami jednak pojmują zadania ruchu realnie. Dotyczy to zwłaszcza mężów stanu Japonii, która jest dziś głównem, centralnem ogniskiem ruchu, znanego przeważnie pod nazwą panazyatyzmu. Koncepcye ich polityczne wydać się mogą ludziom, mającym szablonowe pojęcia o narodach i stosunkach azyatyckich, zuchwalemi i w swem zuchwalstwie nawet niedorzecznemi; są one istotnie bardzo śmiałemi, ale zarazem, powtarzam to z naciskiem, trzeźwemi i ściśle liczącemi się z rzeczywistością.

Panazyatyzm polityczny, którego hasła dziś jeszcze ostrożnie wygłaszają japońscy mężowie stanu, nie ma bynajmniej na celu wywołania walki rasy białej z żółtą, chociażby dla tego, że sami Japończycy nie mogą być do rasy żółtej zaliczeni, jak również dla tego, że obejmuje on wszystkie narody Azyi, a więc i należące do rasy białej, a najważniejszem po Japonii jego ogniskiem są obecnie Indye angielskie. Nie głosi również panazyatyzm polityczny walki państw i narodów azyatyckich z europejskiemi, cywilizacyi azyatyckiej, zupełnie innej zresztą w krajach Dalekiego Wschodu, w Indyach i w świecie muzułmańskim — z cywilizacyą europejską. Przeciwnie w tych

właśnie narodach, które usiłują się do cywilizacyi europejskiej dostosować, i w tych warstwach, które ją przyjęły, panazyatyzm najwięcej zyskuje zwolenników. Tembardziej nie może być mowy o walce buddyzmu z chrześcijaństwem, po pierwsze dla tego, że narody azyatyckie, z wyjątkiem muzułmańskich, odznaczają się zupełnym indyferentyzmem religijnym, powtóre zaś dlatego, że hasła panazyatyzmu rozbrzmiewają nietylko w Japonii i Chinach (gdzie, nawiasem powiedziawszy, buddyzm nie jest bynajmniej religią panującą), ale i w bramańskich i muzułmańskich Indyach, w Persyi, nawet w Turcyi.

Pierwszem zadaniem panazyatyzmu politycznego jest uzyskanie równouprawnienia państw azyatyckich, tych, które własną swoją cywilizacyę posiadają lub naszą przyjmują, w stosunkach zewnętrznych z państwami europejskiemi. Japonia ten cel już w znacznej mierze osiągnęła, aczkolwiek nie uzyskała zniesienia zakazu emigracyi japońskiej, i to właśnie do państw z nią zaprzyjaźnionych — Stanów Zjednoczonych i niektórych kolonij angielskich. Dla uzyskania równouprawnienia państwowego Japonia nie szczędziła ofiar: wojna jej z Chinami, a następnie udział jej w wyprawie przeciw bokserom ten cel miały głównie na widoku. Po częściowem jego osiągnięciu Japonia dążyć zaczyna do uzyskania wpływu na Chiny, zaczyna odgrywać rolę ich protektora i nauczyciela i w polityce swej rzuca, a raczej podejmuje dawniej już rzucone hasło: Azya dla Azyatów.

To hasło jest istotą panazyatyzmu politycznego. W trzeźwem pojmowaniu polityków japońskich nie oznacza ono bynajmniej wyrzucenia europejczyków z Azyi, ani odbierania im kolonij, ale, jak już zaznaczono w *Przeglądzie Wszechpolskim*, jest ono przeniesieniem i zastosowaniem do Azyi amerykańskiej doktryny Monroego. Ta doktryna, mająca rzekomo na celu niedopuszczenie zamachów państw europejskich na niepodległe republiki amerykańskie, w gruncie rzeczy dąży do zapewnienia wpływu na nie Stanom Zjednoczonym. Podobnie Japonia, występując jako przedstawicielka i protektorka wobec Europy państw azyatyckich, ma na widoku przedewszystkiem swój nie zaś ich interes. Ale że jej interes w głównych punktach interesowi tych państw odpowiada, że są one, nie wyłączając Chin, za słabe do wystąpienia stanowczego w obronie swych praw,

więc hasła panazyatyzmu w japońskiem ich rozumieniu znajdują w nich gorących zwolenników.

Japonia zaś rozumie te hasła, jako uprawnienie swej hegemonii nad państwami azyatyckiemi lub przynajmniej utrwalenie w nich swego wpływu. Jeżeli ten wpływ uzyskamy — mówił już 10 lat temu znakomity polityk japoński, hr. Okuma — zostaniemy jednem z głównych mocarstw świata i żadne inne nie będzie mogło zrobić kroku w Azyi bez zapytania o nasze zdanie. Dążenie do zdobycia tej hegemonii i proklamowanie hasła Azya dla Azyatów w bliskiej przyszłości nie grozi posiadłościom (bo nazwa kolonij nie jest dla nich właściwą) europejskim, jak nie groziła im doktryna Monroego w Ameryce. Ale w dalszej przyszłości «rozbudzona Azya» może stać się poważnem niebezpieczeństwem dla panowania niemieckiego w Kiao-Czao, zwłaszcza dla Francyi w Indo-Chinach, wreszcie dla Rosyi nad Oceanem Spokojnym i nawet w Syberyi wschodniej, a może i dla Anglii w Indyach. Dziś już jednak Azya mogłaby pod hegemonią Japonii stawić skuteczny opór dalszym zaborom.

Czy te plany polityki panazyatyckiej nie są złudzeniem, któremu się oddaje bezkrytycznie trzeźwy ale zarazem chełpliwy naród japoński? Nie są złudzeniem, bo liczne fakty świadczą, że Japonia systematycznie politykę panazyatycką przeprowadza, w ostatnich czasach nawet z wielką ruchliwością i energią. Zarówno rosyjscy, jak angielscy podróżnicy i korespondenci azyatyccy stwierdzają, że we wszystkich krajach Azyi spotkać się można z Japończykami, którzy widocznie badają warunki miejscowe i zawiązują stosunki. Są to wyłącznie ludzie inteligentni, którzy podróżują bez wyraźnego celu, jakby dla własnej przyjemności, dla naocznego poznania dalekich i ciekawych krajów. Pełno ich w Tonkinie, w Siamie, w Indyach, można ich spotkać w Turkiestanie, w Persyi, na Kaukazie, nawet w Arabii. Niedawno pisano, że kilku wybitnych dziennikarzy japońskich przebywa w Konstantynopolu. Możnaby ten fakt objaśnić specyalnymi względami na stosunek Turcyi do Rosyi, okazuje się jednak, że stosunki z Turcyą dawno już istnieją, że dla ułatwienia ich pewna liczba Japończyków przyjęła nawet mahometanizm, że sułtan już drugi rok temu wysłał nawet do Japonii misyę religijno-polityczną, która jednak wskutek rozbicia okrętu zatrzymać się musiała w drodze, następnie zaś inne otrzymała przeznaczenie. Tak daleko sięga panazyatyzm

polityczny, takie olbrzymie obejmuje przestrzenie: od Złotego Rogu przy Bosforze do Złotej Góry na Oceanie Spokojnym.

Po wojnie chińskiej Japonia starała się jak najrychlej zawiązać stosunki przyjazne z pobitym przeciwnikiem. Wyprawa na Pekin, w której Japonia udział wzięła, nie popsuła tych stosunków, owszem umocniła je, Chiny bowiem przekonały się, że wobec zaborczości państw europejskich, a zwłaszcza Rosyi, Japonia jest dla nich względnie najlepszym, najbezpieczniejszym, bo wspólnością interesu połączonym sojusznikiem. Nie trzeba przypominać, że w toczącej się wojnie sympatye zarówno rządu, jak narodów chińskich są po stronie Japonii i tylko obawa interwencyi państw europejskich nie pozwala ich wyzyskać. Nie trzeba przypominać znanych faktów, że Japończycy stali się instruktorami wojskowymi i administracyjnymi Chińczyków, że spory zastęp młodzieży chińskiej z najpierwszych rodzin uczy się już w szkołach japońskich.

Chiny oporne, jak twierdzą niektórzy, niezdolne do bezpośredniego przyjęcia cywilizacyi europejskiej, przyjmują ją pośrednio od Japonii i naśladować zaczynają skutecznie swego mistrza. Stosunki między Japonią i Chinami są już dziś bardzo ożywione, zwłaszcza w Chinach południowych. Przypisywany Japonii zamiar zagarnięcia Mandżuryi, a nawet części północnych Chin, gdyby się urzeczywistnił, nie zmieniłby tego stosunku, bo niewątpliwie realizacyi jego towarzyszyłoby obalenie dynastyi mandżurskiej i albo zastąpienie jej japońską albo wyzwolenie właściwych Chin i podział tego olbrzymiego konglomeratu na kilka państw. Nie mówiąc bowiem o krajach lennych, jak Mongolia i Tybet, państwo chińskie składa się z 4 ch odrębnych kompleksów, przedstawiających znaczne różnice przyrodzone i etnograficzne: mianowicie z Chin północnych z Mandżuryą, Chin środkowych, czyli dorzecza rzeki Żółtej, i z Chin południowych oraz z Turkiestanu chińskiego. To są zresztą kombinacye przyszłości, z któremi wprawdzie polityka japońska w dalszych swych widokach się liczy, ale dziś jej zadaniem jest pozyskanie wpływu przedewszystkiem na rząd chiński i panującą dynastyę i zapobieżenie częściowemu rozbiorowi Chin przez państwa europejskie.

Wpływ polityki japońskiej w Indyach jest zjawiskiem dotychczas mało znanem i bodaj czy w prasie naszej wspominano nawet o niem. Niegdyś istniał związek kulturalny a może i po-

lityczny między Indyami i Japonią, ale nie pozostało nawet tradycyi po nim. Zbliżenie, które teraz się zaczęło, nastąpiło na gruncie polityki i kultury angielskiej, dzięki dosyć rozpowszechnionej w obu krajach w warstwach inteligentnych znajomości języka angielskiego.

Na wrażliwych Indusów silnie podziałała wieść o świetnem zwycięstwie Japonii nad potężnemi w ich mniemaniu Chinami. Prasa indyjska i anglo-indyjska zainteresowała się Japonią, niektóre gazety wysłały do tego kraju swych korespondentów. Udział Japonii w wyprawie przeciw bokserom podniósł jeszcze jej urok, gazety indyjskie pełne były zachwytów dla dzielności i sprawności wojsk japońskich, rozpisywały się o ich wyższości nad europejczykami. Zajęcie się Japonią w ostatnich latach wzrosło ogromnie w Indyach. Indusi coraz częściej zaczęli odbywać wędrówki do Japonii. Nastała nawet moda posyłać tam na wychowanie dzieci, zamiast, jak dotychczas, do Anglii. W r. b. na uniwersytet w Tokio przybyło 70 Indusów, należących do zamożnych i wpływowych rodzin i studenci japońscy owacyjnie ich powitali, podobnie jak kolegów Chińczyków. Młoda inteligencya azyatycka zaczyna się wychowywać pod wpływem japońskim: na uniwersytecie w Tokio oprócz Indusów i Chińczyków są jeszcze Siamczycy i Jawańczycy.

Japończyków spotyka się dziś często w Indyach. Ścisłe stosunki łączą ich z buddystami Nepalu i Cejlonu. Ale ponieważ obecnie w Indyach nastało pewne zbliżenie między bramanizmem i buddyzmem, należenie do tej drugiej religii Japończyków nie przeszkadza im w stosunkach z bramanistami i nawet z muzułmanami indyjskimi.

Anglicy nietylko nie przeciwdziałali wpływom japońskim w Indyach, ale nawet je popierali. Obecnie jednak powzięli pewne podejrzenia. Jakiś Anglik zamieścił w gazecie indyjskiej entuzyastyczny artykuł o Japonii, z której świeżo przyjechał. Czytelnicy indyjscy wzięli autora za Japończyka, podróżującego po ich kraju, i zasypali go oraz redakcyę pisma listami, w których rozmaici radżowie, naboby i uczeni kapłani indyjscy nazywali Japończyków przyszłymi oswobodzicielami Indyj i całej Azyi. Do listów dołączane były cenne podarki lub znaczne ofiary pieniężne na domniemaną agitacyę japońską. Władze angielskie dostały te listy, ale roztropnie nie nadały sprawie rozgłosu.

W ciągu zeszłego roku kilku radżów indyjskich z licznemi świtami odwiedziło stolicę Japonii. Przyjmowano ich uroczyście na dworze mikada, a arystokracya japońska urządzała wspaniale uczty na cześć drogich i dalekich gości. Zwłaszcza zmarły niedawno japoński mąż stanu, książę Konodżije, założyciel potężnego towarzystwa, będącego właściwie związkiem panazyatyckim, zwracał szczególną uwagę na zawiązanie przyjaznych stosunków z Indyami i Siamem. Szczególnego rozgłosu nabrała podróż do Japonii indyjskiego maharadży (panującego księcia) Putiali, któremu towarzyszył wysoki kapłan buddyjski, Darmapala. Na wydanej na cześć ich uczcie obaj dostojni goście wygłosili długie mowy. Putiala, jakby naśladując pamiętne zachowanie się księcia bawarskiego w Moskwie, wygłosił mowę, w której dowodził, że panujący książęta indyjscy są nie wasalami, ale tylko sprzymierzeńcami Anglii, podobnie jak książęta niemieccy w Rzeszy. Podobnie jak tytuł cesarza niemieckiego nie daje królowi pruskiemu prawa zwierzchnictwa nad Saksonią lub Bawaryą, tak samo tytuł cesarza indyjskiego nie daje królowi angielskiemu władzy zwierzchniczej nad maharadżami indyjskimi. Zresztą Putiala odzywał się z zachwytem o sojuszu Anglii z Japonią i oświadczył, że odpowiada on serdecznym życzeniom wszystkich Indusów. Porywczy Darmapala w natchnionej mowie przedstawił obraz przyszłego sojuszu japońsko-chińsko-indyjskiego i wielkiej wojny o wyzwolenie Azyi. W odpowiedzi jakiś Japończyk deklamował wspaniały wiersz Kakasu Okakusy, wzywający narody azyatyckie do solidarności i protestujący w imię odwiecznej ich cywilizacyi przeciw zaborom europejskim.

Przezorni politycy japońscy nie dali się unieść fantazyi, przynajmniej w publicznych wystąpieniach. Roztropnie doradzali Indusom sojusz z Anglią i lojalność wobec niej w imię wspólnego interesu, Anglia bowiem jest nietylko europejskiem, ale i azyatyckiem mocarstwem. Było to w przededniu wojny z Rosyą i japońscy mężowie stanu, mając przedewszystkiem na widoku interes swego kraju, usiłowali nastroić Indusów przychylnie dla Anglii a wrogo względem Rosyi.

Wspomniałem już o podróżach Japończyków do Persyi i Turcyi. Rzecz ciekawa, że wielki wezyr perski, który nagle zniknął z Teheranu, zaplątany w krzyżującą się w Persyi sieć

intryg angielskich i rosyjskich, znalazł się niespodziewanie... w Tokio.

Agenci japońscy usiłowali dotrzeć nawet do Tybetu i nawiązać stosunki z lamami. Jeden z nich przyniósł właśnie pierwsze dokładne wiadomości o intrygach rosyjskich na dworze Dalai-Lamy.

Stosunki Japonii z Indo-Chinami, zwłaszcza z Siamem bardzo są ożywione. Chodziła nawet wieść, że mikado zamierza wydać jedną ze swych córek za królewicza siamskiego, może za wykształconego po europejsku autora niedawno wydanej monografii z dziejów w XVIII wieku p. t. «Wojna o następstwo tronu polskiego».

Takie związki dynastyczne, nie praktykowane w Azyi, gdyby weszły w zwyczaj, utrwaliłyby niewątpliwie łączność polityczną między państwami azyatyckiemi. Sojusz ze Siamem ma dziś dla Japonii wielką wartość realną wobec sąsiedztwa tego państwa z posiadłościami francuskiemi i sojuszu Francyi z Rosyą. Nie ulega wątpliwości, chociaż o tem dokładniejszych wiadomości niema, że polityka japońska nie zaniedbała odpowiedniej agitacyi w Kochinchinie i Annamie, skoro zwróciła uwagę nawet na Jawę i Sumatrę.

Była próba, bodaj czy nie z inicyatywy Rosyi, pchnięcia polityki Japonii i jej dążności do ekspansyi terytoryalnej w tym właśnie kierunku, ku południowi. Objęcie w posiadanie Formozy może być uważane jako stworzenie podstawy do tej polityki przyszłości. Geograf rosyjski Weniukow dawniej już obliczał, że Borneo i Nowa Gwinea mogłyby łatwo wyżywić 200 milionów ludności, gdyby objął je w posiadanie naród cywilizowany, który mógłby te obszary skolonizować i urządzić. A Japończycy mają wielką zdolność aklimatyzowania się w warunkach, dla osadnictwa europejskiego niemożliwych. Borneo zresztą jest prastarą ojczyzną tego plemienia zdobywców malajsko-polinezyjskich, którzy stworzyli narodowość japońską i państwo japońskie.

Praktyczni Japończycy nie dali się jednak odciągnąć temi ułudnemi perspektywami od Mandżuryi i Korei, gdzie ich interesy bezpośrednio są zagrożone. Polityka japońska zwróciła się w kierunku północnym, na południowy jest już zapóźno, z powodu usadowienia się Amerykanów na Filipinach i aspiracyj europejskich do tych krajów, które Japończycy mogliby opano-

wać, lub jeszcze zawcześnie — do walki z temi aspiracyami i dokonanymi już zaborami.

To już, co wiemy dziś o ruchu panazyatyckim, a wiemy na ogół bardzo mało, stwierdza zaznaczone w artykule poprzednim przypuszczenie, że w walce o panowanie nad Azyą pomiędzy Rosyą a światem anglo-saskim odegra decydującą rolę trzeci czynnik — rozbudzone do życia samodzielnego narody azyatyckie. I zdaje się, że przodująca ruchowi panazyatyckiemu Japonia będzie właśnie tym trzecim, który *duobus litigantibus gaudet.*

Publicystyka a nawet polityka rosyjska i niemiecka usiłują zastraszyć Anglię i Stany Zjednoczone temi niebezpieczeństwami, jakiemi grozi ich interesom przebudzenie się Azyi i rozwój potęgi japońskiej. I w naszej prasie odzywały się takie głosy, a nawet naiwne ostrzeżenia, których nie czytali ci, kogo dotyczyły. Z pewnością Anglicy, którzy naogół lepiej znają Azyę niż Moskale i Niemcy, doskonale zdają sobie sprawę z możliwych następstw ruchu panazyatyckiego i publicystyka angielska nieraz je rozważa.

Ale, jak już zaznaczyłem poprzednio, nawet urzeczywistnienie hasła «Azya dla Azyatów», o ile łączy się z uznaniem faktów już dokonanych, panowania angielskiego w Indyach i amerykańskiego na Filipinach, nie zagraża interesom Anglii i Stanów Zjednoczonych, które na wschodzie azyatyckim redukują się właściwie do spraw handlowych. Nietylko w blizkiej, ale wogóle w tej przyszłości, z którą polityka liczyć się może, interesom handlowym i nawet politycznym Anglii i Stanów Zjednoczonych raczej grozi konkurencya państw europejskich, niż konkurencya azyatycka. Przemysł angielski, w tych wielkich gałęziach produkcyi, które nazywają się w Anglii narodowemi, obawiać się musi więcej współzawodnictwa Niemiec niż n. p. współzawodnictwa Japonii, chociażby rozwój ekonomiczny tego kraju odbywał się dalej w dotychczasowem tempie.

Zresztą przebudzenie się Azyi otworzy niewątpliwie przemysłowi i handlowi anglosaskiemu nowe rynki. Nietylko dlatego, że przyjmowanie przez narody azyatyckie cywilizacyi i organizacyi państwowej europejskiej zwiększa ogromnie ich potrzeby, ale i dlatego, że ułatwi skolonizowanie na ogół słabo zaludnionych wysp Oceanu Indyjskiego i Polinezyi oraz Afryki. Do kolonizacyi tych krajów narody europejskie nie są zdolne,

azyatyckie zaś, Japończycy, Chińczycy, Indusi doskonale się nadają. Zaznaczyłem już wyżej, że dwie tylko wielkie wyspy, Borneo i Nowa Gwinea, mające dziś niespełna 2 miliony ludności, mogą jej pomieścić 200 milionów. Wogóle zaś kraje, otaczające Ocean Indyjski, skoncentrować mogą z czasem olbrzymią ludność. W końcu ubiegłego stulecia narody azyatyckie, dotychczas nieruchome, zaczęły wysyłać coraz liczniejszą emigracyę do kolonij i krajów, administrowanych po europejsku. Przeważnie jest to emigracya czasowa, zarobkowa, ale łatwo zamienić się może w stałą. Władze kolonialne brytańskie w tych krajach, gdzie kolonizacya europejska jest niemożliwą, chętnie witają azyatycką. Azyaci są doskonałymi robotnikami i łatwo nimi rządzić, oni zaś nawzajem wolą administracyę europejską niż swoją własną. Kolonizacya słabo zaludnionych krajów Azyi, Oceanii i Afryki, może nawet południowo-zachodniej Ameryki, odwróci na dziesiątki i setki lat t. zw. żółte niebezpieczeństwo od państw europejskich i przez europejczyków zamieszkałych, stworzy nowe, wielkie rynki nietylko dla europejskiego, ale i dla azyatyckiego przemysłu i handlu.

Panowaniu Anglii w Indyach przebudzenie się Azyi nie grozi bezpośredniem niebezpieczeństwem. Gdyby nawet Japonia wyrosła na wielkie, wszechświatowe mocarstwo i sięgnęła po hegemonię w Azyi, dużo czasu upłynąćby musiało zanim mogłaby pomyśleć o obaleniu panowania angielskiego w Indyach. Same zaś Indye nigdy chyba niezależności nie zdobędą. Narody azyatyckie, z wyjątkiem może Japończyków, nie mają świadomości narodowej, mają tylko poczucie rasowej lub religijnej odrębności.

O Chińczykach a tembardziej o Indusach nie można mówić jako o narodach w znaczeniu europejskiem. Chiny i Indye to są wielkie kompleksy państwowe, kulturalne, ale nie narodowe. W Indyach istnieją zresztą nietylko silne różnice i antagonizmy plemienne i religijne, ale nawet rasowe. Jak 400 milionów Chińczyków znosi od dwóch wieków panowanie garści — w porównaniu do ich liczby — Mandżurów, tak 250 milionów Indusów znosić będzie panowanie garści Anglików. Kwestya panowania nad ludami azyatyckimi polega na tem, żeby rządzić nimi po europejsku a prowadzić politykę po azyatycku.

Natomiast zwycięstwo Rosyi w walce o panowanie nad Azyą byłoby dla Europy wielkiem niebezpieczeństwem. Rosya

jest państwem z ducha swego azyatyckiem, ale na sposób europejski, chociaż nie po europejsku zorganizowanem, państwem biurokratycznem i militarnem, a więc zaborczem. Gdyby udało się jej zdobyć panowanie bodaj nad częścią Azyi, zorganizowałaby ona podwładne jej ludy azyatyckie do zadań swej polityki zaborczej i dała im technikę europejską: wówczas dopiero stałby się groźnym nietylko dla narodów Europy, ale i dla cywilizacyi europejskiej, panazyatyzm a raczej panmongolizm rosyjski w stylu Dżyngichana, tylko przystosowany formalnie do warunków życia współczesnego.

W początkach wieku XIV wystąpiła odważnie w obronie swej niepodległości nieznana wówczas Europie Japonia i — gdy kniaziowie moskiewscy i ruscy całowali pokornie stopy wielkich chanów i zlizywali z ziemi krople rozlanego ich ręką kumysu — zadała cios dotkliwy panowaniu mongolskiemu. Po siedmiuset blizko latach występuje dziś Japonia w analogicznej roli i jej zwycięstwo będzie odwróceniem grożącego Europie niebezpieczeństwa panmongolizmu rosyjskiego. Zwycięstwo w walce o panowanie nad Azyą Anglii i Stanów Zjednoczonych, zarówno jak zwycięstwo zasady politycznej «Azya dla Azyatów» okazać się może przykrem w skutkach dla niektórych państw europejskich, ale uwalnia je od większego niebezpieczeństwa. Dla nas jednak, jak dla wielu innych narodów europejskich, które w Azyi żadnych interesów nie mają, to zwycięstwo może być tylko pożądanem, osłabiając zagrażającą nam bezpośrednio wrogą potęgę.

J. L. Popławski.

CZY SIĘ WYNARADAWIAMY?

III. ZABÓR AUSTRYACKI.

Dla oceny rozwoju stosunków narodowościowych w zaborze austryackim użyjemy tej samej metody badania, jakąśmy zastosowali do wyjaśnienia stosunków w zaborze pruskim, to jest postaramy się przedstawić: 1) jakie zachodzą ilościowe zmiany w rozwoju narodowości naszej, względnie ruskiej i niemieckiej, 2) gdzie i w jakiej mierze odbywa się proces wynaradawiania na naszą lub cudzą korzyść, 3) jakie są tego przyczyny i 4) czego oczekiwać można w przyszłości.

Metoda badania naszego będzie jednak o tyle odmienną, że badać będziemy stosunki w zaborze austryackim nie równocześnie, tak jak to uczyniliśmy ze względu na te same warunki polityczne co do zaboru pruskiego, lecz z powodu zupełnie odmiennych warunków politycznych a także i narodowych w Galicyi, na Ślązku cieszyńskim i w Bukowinie, każdą z tych dzielnic osobno traktować będziemy, wyciągając bilans strat i zysków narodowych dla każdej z nich odrębnie i dopiero w końcu przeprowadzimy ogólne zestawienie. Zaznaczyć tu też winniśmy, że statystyka narodowościowa austryacka polega na innej podstawie metodycznej aniżeli pruska, mianowicie przedmiotem obserwacyi nie jest w Austryi język ojczysty *(Muttersprache)* jak w Prusach, lecz język towarzyski *(Umgangssprache)*, to jest język z reguły w danej miejscowości używany, przy czem nie wolno jednostce wpisać dwóch lub więcej języków. Kategoryi dwujęzycznych tu więc niema i stąd nieda się, tak jak w Prusach, z powiększenia lub zmniejszenia ilości osób tej kategoryi sądzić o intensywności procesu wynarodowienia.

Statystyka austryacka bada nie tyle przynależność narodową jednostek, ile rodzaj językowego środowiska, w którem jednostka przebywa. Pozwala to organom gminnym, które zwykle spis przeprowadzają, swobodnie popełniać nadużycia i presyę w stosunku do mniej licznych jednostek odmiennej narodowości. Szczególnie dzieje się to często w gminach z większością ruską, niemiecką lub czeską względem mniejszości polskich. Stąd i lokalne daty nie zawsze są zupełnie pewne. Oprócz tego przy badaniu szczegółowych dat statystycznych z różnych miejscowości zauważyć można także pewną chwiejność i elastyczność, często gwałtowne zwyżki lub zniżki w cyfrach procentowych, szczególniej ludności polskiej, nieuzasadnione żadnemi nadzwyczajnemi przyczynami. Pochodzi to najczęściej jeszcze z braku narodowego poczucia u ludu wiejskiego w wielu częściach kraju o ludności mięszanej, a także z powodu chwiejnego, niepewnego stanowiska żydów, którzy zależnie od tego czy autorytet polski w kraju wzrasta lub obniża się, stają się nagle Polakami, względnie Niemcami lub Rusinami. Nakoniec i technika statystyczna, ze względu że cyfry są ustalane na podstawie arkuszy spisowych przez nieukwalifikowane często do tego rodzaju robót władze gminne i polityczne powiatowe, jest o wiele niższą od pruskiej. Wprawdzie powstające stąd

błędy nie są tak wielkie, aby mogły wpłynąć w sposób znaczniejszy na rezultat obliczeń dla całego kraju, ale dla gmin a nawet i powiatów oddzielnych mogą być dosyć znaczne.

W statystyce narodowościowej, szczególniej w Galicyi i na Bukowinie, pomocą przy ustalaniu liczb narodowościowych są dane statystyki wyznaniowej. Zaznaczywszy te metodyczne właściwości statystyki narodowościowej austryackiej, przechodzimy do rozpatrzenia stosunków w oddzielnych prowincyach, gdzie żyje ludność polska.

A) GALICYA.

Pod względem narodowościowym można, jak wiadomo, Galicyę podzielić na dwie części: zachodnią i wschodnią. Galicya zachodnia jest krajem w olbrzymiej większości polskim, wschodnia natomiast polsko-ruskim. Żywioł niemiecki stanowi słabą domieszkę, rozsianą nierównomiernie po całym kraju.

Ażeby módz porównać rozwój liczebny ludności polskiej w ciągu ostatnich lat 50-ciu z rozwojem ludności ruskiej i niemieckiej w całej Galicyi, podajemy poniżej tabelkę, w której zestawiamy absolutne cyfry tych 3 narodowości:

	1851	1880	1890	1900
Polacy	1,994.802	3,058.400	3,509.183	3,988.702
Rusini	2,441.771 [1]	2,549.707	2,835.674	3,074 449
Niemcy		324.336	227.158	211.752

W procentowych zaś cyfrach rozwój stosunków narodowościowych w Galicyi przedstawi się tak:

	1851	1880	1890	1900
	na 1.000 ludzi było:			
Polaków	409	515	534	548
Rusinów	501	429	431	422
Niemców	90	54	34	29

Cyfry te stwierdzają:

1) Powolny lecz stały wzrost ludności polskiej absolutny i procentowy.

2) Słabe cofnięcie się w stosunku procentowym do ogółu ludności żywiołu ruskiego, lecz zawsze wzrost jego absolutny.

---

[1]) Większa liczba ludności ruskiej aniżeli polskiej w 1851 r., da się wytłumaczyć łatwo ówczesną tendencyą rządu austryackiego (czasy Stadiona) do stucznego stwarzania żywiołu ruskiego. Gdy czasy te minęły, ludność ruska odrazu wróciła do swej normalnej cyfry.

3) Stałe zmniejszanie się i absolutne i stosunkowe ludności mówiącej po niemiecku.

Nie należy jednak z tych cyfr wyciągać wniosku, jakoby ludność ruska nie powiększała się owszem absolutnie zwiększa się, gdyż w ciągu ostatniego 10-lecia przybyło 237 tysięcy, a od 1880 r., to jest w ciągu 20 lat, wzrosła o przeszło pół miliona, to jest o przeszło piątą część (20 procent). Tylko w stosunku procentowym do ogółu ludności zmniejsza się z 431 na 422 na 1.000. Czemże więc to osłabienie w przyroście ludności ruskiej można sobie wytłumaczyć? Czy jest to następstwem szybszej ogólnej polonizacyi, jakby się na pozór wydawać mogło, czy też działają tu rozmaite bardziej złożone przyczyny, wśród których i polonizacya może też poczęści odgrywać rolę? Nakoniec jak pogodzić te cyfry, oznaczające jednoczesny silniejszy ogólny wzrost ludności polskiej i słabszy ruskiej z jednej strony, z faktycznem zrutenizowaniem wielu wsi polskich i ze wzrostem żywiołu ruskiego w wielu miastach i miasteczkach galicyjskich z drugiej strony? Są to istotne sprzeczności, które odrazu rozstrzygnąć się nie dadzą, a które należy w szczegółach wyjaśnić dla zdobycia jasnego poglądu na rozwój tutejszych stosunków narodowościowych. Należy więc bliżej statystycznie zbadać: 1) sposób rozsiedlania się ludności, a następnie 2) gdzie i jak odbywa się silniej lub slabiej rozwój obu narodowości, gdzie, jak i na czyją szkodę odbywa się wynaradawianie. Rozpatrzymy więc najpierw stosunki w Galicyi zachodniej, a następnie w Galicyi wschodniej:

1. Rozsiedlenie ludności polskiej i ruskiej jest następujące: Polacy zajmują najpierw zwartą gromadą Galicyę zachodnią, t. j. miasto Kraków i 29 powiatów. Na 2,501.768 ludności przypada w tej części kraju:

Polaków	2,370.532	czyli	953 Polaków	na	1000
Rusinów	77.249	»	31 Rusinów	»	»
Niemców	36.263	»	15 Niemców	»	»

Rusini w tej nieznacznej liczbie mieszkają w 6 powiatach podgórskich (Nowy Sącz, Nowy Targ, Krosno, Jasło, Grybów, Gorlice i Strzyżów). Tylko w jednym z tych powiatów, w Gorlickim, Rusini stanowią $^1/_4$ część ludności (25%), w Grybowskim mniej niż piątą, w Krośnieńskim szóstą, w Nowosądeckim mniej niż siódmą, w jasielskim mniej niż dziesiątą, a w reszcie

powiatów są jeszcze mniej liczni. Stosunek więc ludności polskiej do ruskiej jest tu jak 95:3.

W Galicyi wschodniej przypada na 1.000 ludności:

Polaków	327
Rusinów	625
Niemców	37

Stosunek więc obu narodowości jest tu inny, na korzyść polskiej, stanowiącej nie drobną (1/33), jak ruska w zachodniej Galicyi, lecz 10 razy większą, przeszło trzecią część ogólu ludności wschodniej Galicyi. W absolutnych cyfrach przedstawia się to tak: na 4,814.000 jest Polaków 1,618.000, w tem przeszło 1,200.000 katolików, Rusinów 2,997.000 i 175.000 Niemców.

Cyfra 1,618.000 osób, przyznających się do narodowości polskiej w Galicyi wschodniej, przedstawia pokaźną siłę liczebną, większą niż cyfra naszej narodowości w Ks. Poznańskiem lub na Ślązku Górnym w Prusach, mających po 1,200.000 Polaków, większą, niż wynosi cała ludność niemiecka i polska w Prusach zachodnich, większą niż wynosi cała ludność gubernii Lubelskiej (1,353.000) lub 2 gubernij Płockiej i Łomżyńskiej (1,383.000) w Królestwie Polskiem. W stosunku do ogółu ludności polskiej na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, którą możemy przyjąć w liczbie 19 milionów (w samem Królestwie Polskiem wynosiła ludność ogólna w styczniu 1903 r. 11 mil., w Prusach ludność polska blizko $3^1/_3$ mil., w Austryi 4·3 mil.) .przedstawia ludność polska w Galicyi zachodniej 8·5 procent. Stosunek procentowy ludności polskiej w Galicyi zachodniej i wschodniej do ogółu ludności polskiej w całej Galicyi przedstawia się jak następuje: na Galicyę zachodnią przypada 59·4$^0/_0$ ogółu ludności polskiej Galicyi, a na wschodnią 40·6$^0/_0$.

Jakże jest rozsiedlona ludność polska i ruska w Galicyi wschodniej? Otóż wszystkie 49 powiatów i miasto Lwów są zamieszkałe w części przez Polaków, w żadnym z nich jednak procent Polaków nie spada do poziomu Rusinów dla całej Galicyi zachodniej, a są powiaty, gdzie Polaków jest więcej niż Rusinów. Pod względem stopnia rozsiedlenia ludności polskiej można w Galicyi wschodniej rozróżnić:

I. Obszar w większości polski, to jest powyżej 50$^0/_0$. (11 powiatów środkowych).

II. Obszar polsko-ruski, w którym polskiej ludności będzie 33$^0/_0$, a ponad 20$^0/_0$ rzymsko-katolickiej. (17 powiatów wschodnich).

III. Obszar polsko-ruski, gdzie Polacy stanowią ponad 15% do 33%. (4 powiaty północne).

IV. Obszar ruski z ludnością polską poniżej 15%. (18 powiatów na Podkarpaciu).

Zasadnicze różnice w charakterze etnograficznym ludności rozróżnianych obszarów występują dobitnie w następującem zestawieniu:

W roku 1900	I.	II.	III.	IV.
	Powiaty			
według wyznań	środkowe	wschodnie	północne	podkarpackie
Rzymsko-katolicy	464.551	414.956	57.286	200.765
Grecko-katolicy	527.072	1,058.031	266.925	1,166.032
Żydzi	143.161	218.260	46.611	210.957
Inni	11.645	6.666	2.747	18.506
według narodowości				
Polacy	609.234	612.914	98.602	297.420
Rusini	488.280	1,055.444	263.714	1,189.762
Niemcy	40.982	21.999		102.602

Na obszarze I-ym stanowi ludność rzymsko-katolicka 40·6 prc., w powiatach wschodnich (II) 24·5 prc., w północnych (III) 15·3 prc., na Podkarpaciu (IV) 12·6 prc.

Podany obraz rozsiedlenia ludności polskiej i ruskiej w Galicyi wschodniej nie daje jeszcze jasnego poglądu na rzeczywisty rozkład sił obu narodowości. Należy jeszcze uwydatnić, w jakich siedzibach są skupieni Polacy — w wiejskich czy miejskich. Dla tego należy jeszcze uwzględnić rozmieszczenie ludności w miastach, obszarach dworskich i gminach wiejskich. W r. 1900 liczba i rozmieszczenie ludności polskiej tak się przedstawiały:

1) W 58 miastach polskich powyżej 5.000 mieszkańców — 487.127, czyli 64 na 100.

2) Na obszarach dworskich 128.441 Polaków, czyli 66 na 100.

3) W gminach wiejskich i miasteczkach poniżej 5.000 mieszkańców — 1,000.902, czyli 26 na 100.

Jak widać z tego zestawienia, Polacy przeważają w miastach i w obszarach dworskich, w gminach wiejskich są w mniejszości, ale jest ich tam przeszło milion. Mniej jak milion jest polskiej ludności po wsiach na Śląsku pruskim lub w Poznańskiem, a tej ludności nikt przecież z Polaków nie ośmieliłby się ani zostawiać bez narodowej obrony, ani tembardziej zrzekać.

Niestety, znajdują się u nas i tacy politycy miękiego serca, którzy, o ile są nieugiętymi wobec Niemców, o tyle wobec Rusinów chętnieby się zrzekli tego przeszło milionowego ludu polskiego na Rusi zamieszkałego — tak im to przeszkadza w ich politycznie naiwnych koncepcyach świętej zgody z Rusinami.

2. Poznawszy rozsiedlenie ludności polskiej i ruskiej, rozpatrzymy teraz, gdzie i jak odbywa się silniejszy lub słabszy rozwój obu narodowości i jakie są rozmiary procesu wzajemnego wynaradawiania.

Najpierw w Galicyi zachodniej:

Na 1.000 ludzi było

	w 1880	w 1890	w 1900
Polaków	942	954	957
Rusinów	35	32	31
Niemców	22	13	12

Jak widzimy ludność polska wzrasta, jakkolwiek powoli na koszt ludności niemieckiej, a także w części i ruskiej. Polonizacya jednak nie odbywa się wszędzie jednakowo. Istniejące jeszcze obecnie w tej części kraju kolonie niemieckie pochodzą: 1) albo z wieku XIII-go, jak kolonie w dawnem Księstwie oświecimskiem i zatorskiem, albo 2) z końca XVIII-go w., założone w celach germanizacyjnych przez Józefa II, porozrzucane w powiatach Sądeckim, Bocheńskim, Tarnowskim, Rzeszowskim i Przeworskim. Z biegiem czasu niemal wszystkie te kolonie uległy mniejszej lub większej polonizacyi, charakter niemiecki zatrzymały tylko po dziś dzień miasto Biała i opierające się o nią gminy Lipnik i Hałcnów, oraz miasteczko Wilamowice. Tutaj nawet uległo germanizacyi około 1.000 osób, głównie przez szkoły niemieckie, utrzymywane z funduszów ogólnych krajowych, gdy tymczasem nasze polskie szkoły prywatne dopiero w ostatnich paru latach zaczęły powstawać i to tylko dzięki Towarzystwu Szkoły Ludowej. Tolerancya naszych władz krajowych [1]) i nasz znany «humanitaryzm» nie mogły się dotąd nawet na to zdobyć, ażeby obok niemieckich zorganizować krajowe publiczne szkoły polskie dla licznej polskiej ludności w tych gminach zamieszkałej, pod pozorem tego, ażeby Niemców nie drażnić i nie obrażać.

[1]) Według ustawy krajowej o języku w szkole rozstrzyga w pierwszym rzędzie sama gmina, co jednak nie wyklucza, ażeby władze szkolne wyższe nie mogły tworzyć obok istniejących szkół nowych.

Pomijając te kolonie w powiecie Bialskim, w których niemieckość mocno się trzyma, we wszystkich innych koloniach zniżyla się cyfra ludności niemieckiej, czy to ewangielickiej, czy katolickiej. Wyznanie nie odgrywa tu wybitnej roli. Wprawdzie polonizacya niemieckich ewangielickich kolonij postępuje oporniej, ale mimo to w 1900 r. liczono w tych koloniach obok 1.800 ewangielików Niemców już 1.000 ewangielików Polaków, których ojcowie jeszcze uważali się za Niemców.

Owe niemieckie kolonie około Białej właśnie są katolickie, ale że są zwarte i przylegają do niemieckiego kulturalnego ogniska, jakiem jest miasto Biała, zapewne jeszcze długo charakter niemiecki utrzymają. Po za właściwymi Niemcami (ewangielikami i katolikami) zapisało się do nich 10.700 żydów, czyli $^{1}/_{3}$ część całej ludności, mówiącej po niemiecku w zachodniej Galicyi. W 1880 r. liczba żydów Niemców była 2 razy większa, niż obecnie, ale podnieść tu należy, że w porównaniu z r. 1890 cyfra żydów Niemców jest obecnie większą. Prawdopodobnie wpływała na to ta okoliczność, że rząd centralny w Wiedniu ma obecnie charakter wybitnie niemiecki i centralistyczny, w przeciwieństwie do poprzedniej autonomicznej ery (Taafe-Dunajewski, później Badeni) — wielu zaś żydów zawsze stara się iść *mit der Regierung*. Każde obniżenie polskich wpływów w kraju i w rządzie centralnym musi w tej sferze ludności wywoływać mniejszą skłonność do asymilacyi. To też można być pewnym, że w razie upadku zupełnego naszych wpływów, znaczna większość naszych współobywateli mojżeszowego wyznania bardzo szybko przerzuci się na stronę w danej chwili silniejszą tak, jak to zrobili już w Poznańskiem i na Ślązku. Jak dotąd tej obawy jeszcze niema: na 187 tysięcy żydów tylko niecałe 11 tysięcy podało się za Niemców, ale znaczącym bądź co bądź jest ten objaw nagłego ich obecnego podwyższenia. Ogólnie biorąc, ludność mówiąca po niemiecku liczebnie znacznie się zmniejsza w Galicyi zachodniej. W 1880 r. podało się tu wogóle za Niemców 46 tysięcy — po 20 latach już tylko 36 tysięcy, wliczając nawet w to i wojsko (blizko 6 tysięcy Niemców). A przecież ludność w zachodniej Galicyi w 20 latach (1880—1900) wzrosła o 18 przeszło procent — powinnoby Niemców być 54 tysiące — blizko więc 18 tysięcy Niemców spolonizowało się w tym przeciągu czasu, co nie przeszkodziło równoczesnej germanizacyi około Białej tysiąca Polaków. Przy-

czyną wynarodowienia się niemieckich kolonij jest w pierwszej linii ich drobność wobec otaczającego zewsząd polskiego żywiołu, następnie siła asymilacyjna tego żywiołu, a nakoniec słaba ich odporność narodowa, czyli inaczej znana zdolność przystosowywania się Niemców. Polonizacya tutaj jest zupełnie naturalną, żywiołową, odbywa się bez żadnej presyi władzy krajowej, jak widzieliśmy na przykładzie kolonij w powiecie Bielskim, bez żadnego też oporu ze strony polonizującej się ludności niemieckiej. Ułatwiają ją poczęści i małżeństwa mięszane polsko-niemieckie, które już w drugiem pokoleniu polszczeją. W ostatniem 10 leciu Schul-Verein niemiecki i Gustaw-Adolf-Verein roztoczyły opiekę nad temi niemieckiemi koloniami, polonizacyi jednak zatamować nie mogły.

W podobny sposób rzecz się ma i z nieliczną ludnością ruską (77 tysięcy) w zachodniej Galicyi, jakkolwiek w mniejszym stopniu. Mianowicie, gdzie mieszkają Rusini porozsiewani w otoczeniu żywiołu polskiego, tam cztery piąte greko-katolików, a więc pochodzenia ruskiego, przyznało się do języka polskiego; tam nawet, gdzie mieszkają w zwartych masach, ale na dostępnych nizinach (w powiecie Łańcuckim, Rzeszowskim, Przeworskim) na przeszło 10 tysięcy greko-katolików tylko około 4 tysięcy podało się za Rusinów, a więc 6.000, czyli $^3/_5$ osób tego wyznania — za Polaków. Za to w odludnych, mało dostępnych górskich powiatach, Gorlickim i Grybowskim, a także poczęści Nowotarskim i Nowosądeckim, stawiają Rusini skuteczny opór naturalnej żywiołowej polonizacyi i nawet tu przeszło 200 Polaków zrutenizowało się w otoczeniu ruskiem.

Biorąc całą Galicyę zachodnią, liczba greko-katolików przewyższała liczbę Rusinów o 5.800 ludzi w 1880 r., a w 20 lat później w 1900 r. już o 8.700, czyli w przeciągu tego czasu spolonizowało się nadto blizko 3 tysiące Rusinów. W porównaniu z r. 1880 liczba Polaków obrządku greckiego wzrosła przynajmniej o $50^0/_0$, liczba Rusinów natomiast tylko o $5^0/_0$. Wynik więc jest ten, że w Galicyi zachodniej postępuje żywiołowe dobrowolne wynaradawianie się Rusinów, z wyjątkiem górskich powiatów, na rzecz wyżej kulturalnego szczepu polskiego. Również i tutaj w gminach ruskich Rusini posiadają dostateczną ilość szkół publicznych, utrzymywanych kosztem skarbu krajowego, z językiem wykładowym ruskim: na 1.413 szkół ludo-

wych w Galicyi zachodniej jest ruskich szkół 77, co stanowi $5^1/_2{}^0/_0$., a tymczasem Rusini stanowią tu tylko $3{\cdot}1^0/_0$.

Streszczając charakter rozwoju stosunków narodowych w Galicyi zachodniej, możemy powiedzieć, że żywioł polski, znajdujący się tu w ogromnej większości, zdołał zasymilować tu jakich $40^0/_0$ Niemców, z górą $10^0/_0$ greko-katolików (Rusinów) i $90^0/_0$ żydów — tych ostatnich przynajmniej oficyalnie, póki zamiast niemieckich lub innych przeważają w tej części kraju wpływy polskie. Jednakże pewna część Niemców (powiat Biała) i Rusinów (powiaty górskie) okazały tutaj sporą odporność, jakkolwiek słabszą, niż w poprzednich latach.

Należy się teraz przyjrzeć, jak stoją rzeczy w Galicyi wschodniej. Kształtują się tu one nieco inaczej. W Galicyi wschodniej było:

	w r. 1880	w r. 1890	w r. 1900
Polaków	1,076.145	1,338.899	1,618.170
Rusinów	2,476.323	2,753.248	2,997.200
Niemców	277.947	197.719	175.489
Innych nar.	4.292	3.707	6.016
Ogółem	3,834.707	4,293.573	4,796.875

Przybyło więc w ciągu 20 lat (1880—1900):

Polaków	542	tysiące,	$50^0/_0$	ich liczby
Rusinów	521	«	$21^0/_0$	«
Ubyło zaś Niemców	102	«	$40^0/_0$	«

Ponieważ wzrost polskiej ludności jest szybszy niż Rusinów, a liczba Niemców prawie o połowę zmalała, więc dzięki temu żywioł polski w stosunku do ogółu ludności w Galicyi wschodniej musiał wzróść bardziej niż inne, i dla tego też, jeżeli na 1.000 ludzi było

	w 1880 r.,	to w 1890 r.,	a w 1900 r.
Polaków	281	312	337
Rusinów	646	641	625
Niemców	72	46	37

Stwierdziwszy te ogólne zmiany w stosunku wzajemnym sił narodowych, należy teraz zbadać szczegóły. Zaczniemy od Niemców. Ludność, mówiącą po niemiecku, stanowią tu 1) kolonie katolickie niemieckie, 2) kolonie ewangielickie, 3) żydzi, 4) wojsko. Otóż w 1900 r. na 175 tys. ludności, mówiącej po niemiecku, było w Galicyi wschodniej właściwie tylko $13^1/_2$ tys. Niemców katolików, $29^1/_2$ tys. Niemców ewangielików, 10 tys. wojska, czyli razem 53 tys. właściwych Niemców, a aż $122^1/_2$ tys.

żydów, którzy tym sposobem stanowią 2/3 całej ludności mówiącej po niemiecku. Gdy w Galicyi Zachodniej tylko $^{1}/_{18}$ część żydów uważała się za Niemców, to w Galicyi wschodniej, gdzie żywioł polski jest stosunkowo słabszy, trzy razy tyle, bo $^{1}/_{5}$ część żydów podała się za Niemców. Potwierdza to powyżej wyrażone zdanie, że gdzie żywioł polski słabnie, tem żydzi bardziej ku niemczyźnie ciążą. Ciekawem jest, że otoczenie ruskie o wiele mniej na nich działa aniżeli polskie, bo żydów-rusinów zapisało się 38 tys., a żydów-polaków, pomimo słabszego liczebnie żywiołu polskiego, 11 razy więcej, bo 447 tys.

Kolonie niemieckie katolickie (również z czasów Józefa II), rozsiane po Galicyi wschodniej, powoli polonizują się, oprócz kolonij na Podkarpaciu, które skuteczniej opierają się polonizacyi. Z 10.300 w 1880 r. spada liczba Niemców katolików w koloniach tych na 8.600, pomimo że ludność w Galicyi wschodniej przez 20 lat wzrosła o przeszło 25%. Ciekawem to jest także, że ci Niemcy nie wynaradawiają się na korzyść okolicznej liczniejszej ludności ruskiej, ale na korzyść mniej licznego żywiołu polskiego. Rozstrzyga tu siła kulturalna. Po za koloniami skupionemi żyje jeszcze przeszło 5 tysięcy Niemców katolików głównie we Lwowie i innych miastach, ci również polszczą się. Liczniejsze (18 tysięcy) są zwarte kolonie niemieckie ewangielickie. Liczba Niemców w nich również zmniejszyła się, ale wyłącznie wskutek emigracyi, o znaczniejszem wynaradawianiu się Niemców niema tu mowy. Ludność ta powoli wyprzedaje się, szczególnie w ostatnich czasach, po większej części pociągana odezwami Komisyi kolonizacyjnej w Poznańskiem i tam się wynosi. Po za koloniami temi żyje w Galicyi wschodniej około 18.700 ewangielików, z których 13 tysięcy Niemców, 4.400 Polaków, a 1.000 Rusinów (głównie na Podkarpaciu). Ci ewangielicy Polacy i Rusini to wynarodowieni Niemcy [1]). Na uwagę zasługuje tu fakt, że ludność polska Galicyi wschodniej zdołała $4^{1}/_{2}$ razy więcej zasymilować ewangielików-Niemców, aniżeli ludność ruska. W porównaniu jednak z Galicyą zachodnią siła asymilacyjna żywiołu polskiego jest w Galicyi wschodniej trzy razy mniejsza, tu bowiem procent ewangielików-Polaków wynosi 13% wszystkich ewangielików, a w Galicyi zachodniej 40%. Prawdopodobnie jednak, jeżeli emigracya z nie-

[1]) Z tych to ostatnich pochodzi znany pisarz rusiński Iwan Franko.

mieckich ewangielickich kolonij będzie trwać dalej, większość tych kolonij stanie się przeważnie polską, a w pewnej części ruską. Obecnie wszakże Rusini zwrócili baczniejszą uwagę na wyprzedaż tych kolonij i starają się ubiedz w zakupnie naszych mazurskich chłopów.

Przechodzimy teraz do nakreślenia obrazu ukształtowania się wzajemnego sił narodowych polskich i rusińskich, niezmiernie dla nas ważnego. Nie może być tu mowy o celowem, sztucznem, przymusowem wynaradawianiu ze strony polskiej. Rusini w Galicyi wschodniej są obficiej uposażeni w szkoły ludowe — tę podstawę narodowego życia, aniżeli tamtejsza ludność polska; organizacya ich kościelna (liczba parafij, kościołów, księży i t. d.) jest silniejsza, niż polska, a na polu tworzenia własnych narodowych towarzystw, związków i innych instytucyj przeszkód żadnych nie znajdują, przeciwnie pomoc często ze strony skarbu krajowego.

Postęp polonizacyi lub rutenizacyi da się określić w ten sposób, iż przyjmuje się zgodnie z prawdą, że rzymsko-katolicy są pochodzenia polskiego, a greko-katolicy ruskiego. Jeżeli więc na 100 greko-katolików w danej miejscowości przypada mniej niż 100 (n. p. 90) Rusinów, to znaczy 10 greko-katolików uważa się obecnie za Polaków. Jeżeli zaś na 100 greko-katolików przypada Rusinów więcej niż 100, n. p. 110, to znaczy, że 10 rzymsko-katolików, względnie żydów, uważa się za Rusinów.

Otóż stosunki te w r. 1880 i w 20 lat potem w różnych powiatach Galicyi wschodniej nie jednakowo się kształtowały.

I. W 11 powiatach polsko ruskich środkowych (obszar I), to jest w powiatach: Sanok, Jarosław, Cieszanów, Przemyśl, Mościska, Gródek, Lwów, Sambor i Rudki, oraz w mieście Lwowie, na 100 greko-katolików przypadało Rusinów:

	w r. 1880	w r. 1900		
1) W miastach większych ponad 10.000 mieszkańców	33	56	Rusinów	przybyło.
2) W miastach małych po 5.000 do 10.000	97	57	«	ubyło.
3) W obszarach dworskich wiejskich	67	81	«	przybyło.
4) W gminach wiejskich i miasteczkach niżej 5 000	92·2	97·7	«	przybyło.

Jak widzimy więc, odporność narodowa Rusinów w ostatnich 20 latach wszędzie na tej przestrzeni kraju wzrosła, z wy-

jątkiem miast, gdzie osłabła na korzyść żywiołu polskiego. Wszędzie jednakże dosyć znaczna część ludności greko-katolickiej przyznaje się do narodowości polskiej (n. p. w miastach większych jeszcze na 100 greko-katolików jest 44 Polaków), wszędzie jednakże liczba Polaków greko katolików uległa w tym czasie stosunkowo do liczby Rusinów zmniejszeniu. Siła asymilacyjna jednak żywiołu polskiego w tych powiatach, choć słabsza, trwa jeszcze, a nawet w powiatach mościckim, lwowskim i grodeckim straty Rusinów trochę się zwiększyły — w reszcie powiatów zmniejszyły.

II. W 17 powiatach polsko-ruskich wschodnich (obszar II), położonych na wschód i północ od Dniestru, mianowicie w powiatach: Kamionka, Brody, Złoczów, Przemyślany, Brzeżany, Podhajce, Buczacz, Tarnopol, Zbaraż, Skałat, Trembowla, Husiatyn, Czortków, Borszczów, Zaleszczyki, Rohatyn i Bóbrka, na 100 greko-katolików było Rusinów

	w r. 1880	w r. 1900		
1) W miastach większych ponad 10.000 mieszkańców	83	93	Rusinów	przybyło.
2) W miastach mniejszych 5.000 do 10.000	104	94	»	ubyło.
3) W obszarach dworskich	85	82	»	ubyło.
4) W gminach wiejskich i miasteczkach niżej 5,000	110·2	100·7	»	ubyło.

Na tym obszarze widzimy stosunkowe zmniejszenie się liczby Rusinów w miastach mniejszych, na obszarach dworskich i w gminach wiejskich, zwiększenie zaś tylko w miastach większych, tu więc siła asymilacyjna żywiołu polskiego wzrosła. Ale w gminach wiejskich zawsze Rusinów jest więcej niż greko-katolików, czyli że część rzymskich katolików polskiego pochodzenia uważa się tu za Rusinów. Wprawdzie wzrosła teraz odporność polskości po wsiach, ale bądź co bądź Rusini są tu żywiołem jeszcze rutenizującym nasz mazurski lud, jakkolwiek słabiej niż przed 20 laty. Również w niektórych miastach, jak Buczacz, Kamionka, Skała, Skałat i Zbaraż, ludność polska rutenizuje się, gdyż jest więcej Rusinów, niż greko-katolików.

Do roku 1890 widocznem jest nawet w wielu gminach formalne topnienie polskiej ludności, chociaż ogólne zaludnienie gmin rosło, a tem samem i nasza ludność rozrastała się. Wyjmujemy dla przykładu z wykazu gmin według wyznania i na-

rodowości, opracowanego przez Komisyę centralną statystyczną w Wiedniu za r. 1890, n. p. powiaty Borszczów, Brody, Brzeżany, Buczacz. W 70 wsiach, w których żyje ludność polska rzymsko-katolicka, na 17.816 katolików rzymskich (z pochodzenia Polaków) pozostało tylko 5.009, to jest nie cała $^1/_3$ część Polaków, a reszta, to jest 12.807, wynarodowiło się. I tak dzieje się w wielu miejscowościach, obecnie słabiej niż dawniej, wskutek żywszej narodowej działalności polskiej w ostatnich latach. Rutenizuje się zaś lud nasz głównie z braku naszych kościołów, przez kościół rusiński, a także z powodu braku dostatecznej ilości polskich szkół ludowych. Ilość Polaków, mieszkających w zwartych osadach, a pozbawionych mimo to szkoły polskiej, jest tutaj bardzo wielką.

Podajemy tu ciekawe i rzucające bardzo dziwne światło na działalność naczelnej władzy krajowej szkolnej zestawienie dla 14 powiatów sądowych z tego obszaru (2—3 powiaty sądowe tworzą zwykle jeden powiat polityczny). Polacy stanowią tu w gminach albo większość, albo też silną mniejszość, wyżej 200 dusz. Otóż w tych 14 powiatach, wśród Polaków w zwartych osadach, znajdujemy 48 tysięcy chłopów polskich pozbawionych własnych polskich szkół, — z pośród nich 33 tysiące wysyłać musi swoje dzieci (istnieje w całym kraju przymus szkolny) do szkół rusińskich i tam je rutenizować, a 15 tysięcy nie mają żadnych szkół, skazane są na analfabetyzm. Widzimy więc, że sama działalność władz szkolnych, pozostających w rękach polskich, sprzyja przez niezakładanie dla polskiej ludności polskich szkół — rutenizacyi zupełnie urzędowej. Przeciw tej dziwnej polityce, ze stanowiska polskiego szkodliwej, musiało się zwrócić z pomocą samo społeczeństwo, zakładając przy pomocy Towarzystwa szkoły ludowej szereg szkół prywatnych polskich w najbardziej zagrożonych rutenizacyą gminach.

III. W 4 powiatach polsko-ruskich północnych (obszar III), mianowicie w powiatach Jaworowskim, Rawskim, Żółkiewskim i Sokalskim, stosunki ułożyły się znów inaczej. Na 100 greko-katolików przypadało Rusinów

	w r. 1880	w r. 1900	
1) W miastach większych ponad 10.000 mieszkańców	80	99	Rusinów przybyło.
2) W miastach mniejszych 5.000 do 10.000 mieszkańców	98	65	„ ubyło.

	w r. 1880	w r. 1900		
3) W obszarach dworskich	84	73	«	ubyło.
4) W gminach wiejskich i miastach niżej 5.000 mieszkańców	101·5	100·7	«	ubyło.

W powiatach tych, jak widzimy, osłabła odporność ludności ruskiej z wyjątkiem większych miast. Za to w gminach wiejskich Rusini jeszcze wciąż są żywiołem wynaradawiającym, jakkolwiek w mniejszym stopniu, niż przed 20 laty, jeszcze wciąż bowiem jest więcej Rusinów, niż greko-katolików, czyli że nieznaczna część Polaków zrutenizowała się.

IV. Nakoniec na obszarze IV-ym z większością bardzo znaczną ruską, mianowicie w 18 górskich, podkarpackich powiatach: Stanisławów, Dobromil, Lisko, Stare Miasto, Drohobycz, Żydaczów, Stryj, Tłumacz, Horodenka, Kołomyja, Śniatyn, Kosów, Peczeniżyn, Nadworna, Bohorodczany, Kałusz, Dolina i Turka, stosunki ułożyły się dla polskiego żywiołu jeszcze gorzej. Na 100 greko-katolików było Rusinów

	w r. 1880	w r. 1900		
1) W miastach większych	84	84	Rusinów	nie przyb. i nie ub.
2) W miastach mniejszych	101	101	«	nie przyb. i nie ub.
3) W obszarach dworskich	107	113	Rusinów	przybyło.
4) W gminach wiejskich	102·8	102·4	»	ubyło.

Oprócz tego na Pokuciu (w Kołomyi, Śniatynie, Kutach) stosunki układają się jeszcze gorzej dla nas w miastach, bo gdy na 100 greko-katolików w miastach tych było w r. 1880 Rusinów 95 — w r. 1900 jest już 105, a nawet w małych miasteczkach 112. Wskazuje to, że tam, gdzie Rusini przygniatają nas liczbą bardziej niż gdzieindziej, więcej również Polaków wynaradawiają, i to zarówno w miastach jak w obszarach dworskich i gminach. Pocieszającem jest to, że ten proces wynaradawiania się polskiego żywiołu oprócz Pokucia, gdzie wzrósł, wszędzie zatrzymał się, a nawet po wsiach trochę osłabł. Ponieważ obszary dworskie są przeważnie w ręku polskim, więc dowodzi to, że polscy właściciele wcale nie wyzyskują swojego wpływu na korzyść polonizacyi.

Zliczymy teraz wzajemne straty i zyski z oddziaływania na siebie dwóch kultur.

1) W miastach na 182 tysiące greko-katolików było Rusinów w 1900 r. 143 tysiące, Polaków 39 tysięcy; w r. 1880 było Polaków 32 tysiące, przybyło więc tylko 7 tysięcy Polaków

greko-katolików. Jednakże wzrost ten jest już właściwie cofnięciem w porównaniu z Rusinami, których przybyło stosunkowo więcej, procentowo bowiem ludność polska grecko-katolicka w 1880 r. wynosiła 23% ludności grecko-katolickiej, a w 1890 tylko 22%; oprócz tego 3 tysiące rzymskich katolików pochodzenia polskiego uznało się za Rusinów. W miastach więc jest niewielka strata, ale w ostatnich czasach widać zwiększenie odporności polskiej.

2) Na obszarach dworskich liczono Polaków greckiego obrządku 12 tysięcy, Rusinów zaś łacinników 2 tysiące, a więc zrutenizowało się tu mniej trochę, niż w miastach, ale za to i spolonizowało się mniej.

3) W gminach wiejskich liczono w 1900 r. 44 tysiące Polaków greko-katolików, a 30 tysięcy Rusinów łacinników. W 1880 r. cyfra Rusinów łacinników była znacznie wyższa, bo 84 tysięcy, a Polaków greko-katolików 49 tysięcy. Straty więc Rusinów ogólne były tu w 20 latach: 4 tysiące greko katolików i 54 tysiące rzymskich katolików, którzy się odrutenizowali i do polskości powrócili.

Cyfry te świadczą o zobopólnym wzroście odporności narodowej — tak Rusinów jak i Polaków. Co do tych ostatnich, to wzrost ludności polskiej zawdzięczać należy po pierwsze odporności narodowej tam, gdzie pod wpływem rutenizacyi liczba ich już topniała, zwłaszcza widać w ostatnich latach znaczny wpływ rozpoczętej przez samo społeczeństwo żywej pracy narodowej. To, co spostrzegamy na Ślązku Górnym i w Poznańskiem, to jest budzenie się świadomości narodowej w szerokich masach dotąd uśpionych, zaczyna się wyraźnie objawiać i w Galicyi wschodniej. Drugą przyczyną wzrostu ludności polskiej jest przyrost naturalny ludności rzymsko-katolickiej, a więc polskiej, większy od przyrostu naturalnego ludności ruskiej (greko-katolickiej), jak to powyżej zaznaczyliśmy. Trzecią przyczyną jest coraz żywsza asymilacya językowa i kulturalna żywiołu żydowskiego na rzecz polskiego.

Nie należy jednakże sądzić, żeby szybki wzrost ludności polskiej odbywał się kosztem ludności ruskiej; w małej części zaledwie można to przyznać. O gwałtownie postępującej polonizacyi Rusinów galicyjskich ani mowy być nie może, pomimo, że Polacy zajmują panujące w Galicyi stanowisko pod względem cywilizacyjnym, ekonomicznym i politycznym, jak również i pod względem liczebnym. Przeciwnie, pomimo zaznaczonego

słabszego przyrostu ludności ruskiej, ludność ta w wielu okolicach w Galicyi wschodniej, jak widzieliśmy, nietylko stale wzrasta, ale i pochłania w części tamtejszą ludność polską. Powodem tej rutenizacyi miejscowej są następujące czynniki:

1) Wyjątkowa polityka narodowościowa Sejmu krajowego i wyższych ciał autonomicznych, popierająca nietylko rozwój kultury narodowej polskiej, ale i rozwój kultury narodowej ruskiej.

2) Praca organizacyjna samego społeczeństwa ruskiego, nie znajdująca żadnej przeszkody, z naciskiem to należy podnieść, ze strony polskiej. Rusini najzupełniej swobodnie zakładają wszelkie stowarzyszenia, łączące ich do wspólnej pracy na polu politycznem, ekonomicznem i kulturalnem. W stowarzyszeniach tych Rusini odosobniają się zupełnie od Polaków.

3) Ważnym czynnikiem rutenizacyi jest też dotąd nizki stopień oświaty wśród mas ludności polskiej, czemu dopiero w ostatnich latach starają się przeciwdziałać przez żywszą działalność kół oświatowych prywatnych.

4) Brak dostatecznej opieki kościelnej dla ludności polskiej w Galicyi wschodniej. Brak kościołów i nadmierna rozległość parafij łacińskich sprawia to, że ludność polska zaspakaja swe potrzeby religijne w wielu okolicach w kościołach ruskich, a przez to rutenizuje się.

5) Słaba organizacya narodowa i ekonomiczna ludności polskiej w Galicyi wschodniej, która dopiero w ostatniem dziesięcioleciu uległa pomyślnej zmianie, wyłącznie dzięki usiłowaniom samego społeczeństwa polskiego.

Jak widzimy więc, jeśli polskość dźwiga się, zawdzięczać to musimy jedynie naturalnym przyczynom wynikającym z jej żywotności, a nie żadnym sztucznym środkom. Podniesienie oświaty i stopy kulturalnej, wskutek powolnego ale stałego podnoszenia się ogólnego dobrobytu, musiały ożywić siły, tkwiące w polskiej ludności tam, gdzie jest ona w znaczniejszej liczbie. Gdzie zaś Rusini górują nad nami lepszą organizacyą oświatową i ekonomiczną, a zarazem i liczbą, tam rutenizuje się ludność polska. Nie mamy jednak powodów do obawy, ażeby, o ile warunki polityczne na naszą niekorzyść się nie zmienią (n. p. zagarnięcie Galicyi przez Rosyę), ludność nasza uległa wynarodowieniu na korzyść ruskiej. Należy tylko nie ustawać w narodowej pracy. *T. Gierałtowski.*

Z CAŁEJ POLSKI.

Proces bytomski i jego skutki. Obawy Moskali. Niepowodzenia ugodowców i rozpaczliwe próby ratowania swego stanowiska.

Ruch demokratyczno-narodowy na Górnym Ślązku zwycięsko wyszedł z próby, która wymagała nietylko stanowczości i wytrwałości, ale, co w polityce jest rzeczą trudniejszą, roztropności i powściągliwości. Niespodziewane zakończenie procesu bytomskiego jest dla ruchu narodowego wogóle, a dla kierowników *Górnoślązaka* w szczególności podwójnem zwycięstwem, bo pokonali niebezpiecznego przeciwnika i zarazem, nie przeciągając struny, okazując w porę przezorną pojednawczość, obezwładnili go i wykazali swoją dojrzałość polityczną.

Przebiegu procesu nie będziemy streszczać. Zaznaczymy tylko, że wytoczył go redakcyi *Górnoślązaka* kardynał biskup wrocławski ks. Kopp, oskarżając ją o obrazę czci i zohydzanie stanu duchownego z powodu przedrukowania artykułu warszawskiego *Przeglądu katolickiego* o duchowieństwie na Górnym Ślązku i zamieszczenia wzmianki o konferencyi księży we Wrocławiu i udziale w niej ks. Koppa.

Sąd pruski zajął bardzo nieprzychylne wobec oskarżonych stanowisko. Nie mógł jednak bez jawnego pogwałcenia prawa odmówić im wezwania i przesłuchania świadków, na przeprowadzenie dowodu prawdziwości zrobionych duchowieństwu górnośląskiemu zarzutów.

Zeznania świadków dały jaskrawy i wstrętny obraz zaciekłości księży germanizatorów i nadużywania przez nich swego stanowiska duchownego. Ze łzami w oczach, z drżeniem w głosie, ale z powagą i szczerością, świadkowie — ludzie prości, przeważnie biedni robotnicy i robotnice, opowiadali o prześladowaniach ruchu narodowego. Czytelnikom *Górnoślązaka, Głosu śląskiego* i innych pism narodowych oraz tym wszystkim, którzy głosowali na kandydatów polskich, księża odmawiali rozgrzeszenia przy spowiedzi, nawet udzielania sakramentów, wyklinali ich z ambon i wymyślali im nawet w kościele takimi wyrazami, jak «bestyjskie chachary, świnie, złodzieje» i t. p.

Niepodobna wyliczyć bodajby najjaskrawszych nadużyć, — tyle ich popełniono; przytoczę więc jedynie dla przykładu kilka znamiennych. Ks. Wrzodek w Opolu denuncyował przed zarzą-

dem fabryki czytelników gazet polskich, ks. Abramski groził odmówieniem pogrzebu chrześcijańskiego ludziom, którzy chodzą na odpusty do Galicyi i tam się spowiadają, ks. Bojdoł wyklinał z ambony czytelników «dyabelskich» pism polskich, ks. Środa za pokutę kazał prenumerować i czytać centrową *Gazetę katolicką*.

Jak czytelnik widzi, wymienieni księża germanizatorowie są krwią z krwi i kością z kości ludu ślązkiego. I nietylko oni, ale niemal wszyscy, których nazwiska na procesie wymieniano: ks. Lisek, ks. Kwiotek, ks. Matula, ks. Cygan, ks. Zientek, ks. Smykała, ks. Spyra, ks. Leszczyk, ks. Drozd, ks. Wojtok, ks. Skowronek — to wszystko synowie chłopów i robotników, synowie ludu polskiego i zarazem najzawziętsi jego prześladowcy. Z chłopską zaciętością i z brutalnością chłopską zwalczali oni nienawistny im ruch narodowy, z gorliwością odstępców prześcigali Niemców w działalności germanizacyjnej. Ale natrafili w ludzie na taką samą zaciętość i wytrwałość, i to właśnie doprowadzało ich do wściekłości, czyniło ich niepoczytalnymi.

Gdy to wszystko wyszło na jaw na procesie, obecny w sądzie delegat biskupa Koppa, ks. kanonik Buchman, musiał uznać i pośrednio potępić działalność księży germanizatorów. O wrażeniach swoich zawiadomił natychmiast kardynała Koppa. Obrońca oskarżonych, dr. Seyda, który znakomicie sprawę prowadził, i poseł Korfanty zrozumieli, że nastąpił pożądany nietylko ze względów prawnych ale i ze względów politycznych moment psychologiczny. Z usposobienia wyższych sfer duchownych należało skorzystać jeżeli nie dla przywrócenia spokoju, to dla zawarcia zawieszenia broni między stronami, walczącemi na Górnym Ślązku.

Na podstawie oświadczenia redakcyi *Górnoślązaka*, że zarzuty, przeciw zachowaniu się duchowieństwa górnoślązkiego podniesione, nie dotyczą kardynała Koppa i że zarzut jakoby porozumiewał się w sprawie polityki germanizacyjnej z rządem pruskim jest bezpodstawny, ks. biskup wrocławski odwołał skargę. Tem samem pośrednio potępił zachowanie się duchowieństwa, zaznaczył, że się z działalnością jego nie solidaryzuje.

Ks. Kopp był i jest niewątpliwie wrogo względem narodowości naszej usposobiony, ale jest zarazem człowiekiem rozu-

mnym i politykiem wytrawnym, gdy się więc przekonał, że taktyka duchowieństwa górnoślązkiego jest dla Kościoła, a nawet dla sprawy, której się to duchowieństwo wysługuje, i dla stronnictwa centrum szkodliwą, pojął, że trzeba tę taktykę zmienić, że trzeba się cofnąć z drogi źle wybranej.

Więc gdy już po procesie zacietrzewieni księża chcieli niektórych świadków, przeciw nim zeznających, oskarżyć o krzywoprzysięztwo, biskup Kopp, korzystając z władzy swej i powagi, nakazał im skargi cofnąć.

Cała niemal prasa niemiecka i polska uznała zgodnie, że wynik procesu w Bytomiu jest walnem zwycięstwem ruchu narodowego na Górnym Ślązku. Tylko organy centrum, co prawda nie wszystkie, trwają dalej w uporze, obawiając się, że kompromis wyjdzie na korzyść jedynie ruchowi narodowemu polskiemu.

Zaznaczyliśmy już wyżej, że nie jest to właściwie kompromis, ale zawieszeni broni, istotnie korzystne dla ruchu narodowego, zmuszonego walczyć jednocześnie z duchowieństwem i z rządem pruskim. Teraz jeden z dwóch przeciwników jest na czas jakiś obezwładniony, nie może bezwzględnie przeciw ruchowi narodowemu i jego kierownikom występować. I ci ostatni nie mają powodu wszczynać nowej walki z duchowieństwem, którego powaga polityczna i moralna, mocno w oczach ludu zachwiana, otrzymała w Bytomiu cios dotkliwy.

Zawieszenie broni nietylko nam pozwoli prowadzić skuteczniej walkę z rządem pruskim i hakatyzmem, ale — i to jest rzecz najważniejsza — da możność podjęcia na szerszą skalę tak doniosłej i tak pilnej na Górnym Ślązku pracy kulturalnej, oświatowej i ekonomicznej. Ten lud górnoślązki, który w ogromnej swej większości poczuł się już politycznie polskim, trzeba jeszcze duchowo i obyczajowo unarodowić, ściślej go zespolić z narodową całością, a jednocześnie do samodzielnego życia uzdolnić i zaprawić.

To jest wielkie zadanie, równie ważne jak uświadamianie polityczne, a bodaj nawet ważniejsze, wymagające wielkiego nakładu energii i względnego spokoju. Rząd pruski może tę pracę utrudniać, ale przeszkodzić jej nie może. Chodzi o to, żeby nie utrudniało jej jeszcze duchowieństwo, które obecnie musi zachowywać się ostrożniej wobec ruchu narodowego.

Pruska izba panów przyjęła projekt ustawy o koloniza-

cyi, mający na celu ograniczenie Polaków w prawie nabywania ziemi. Przeciw projektowi przemawiali magnaci śląscy hrabia Oppersdorf i hr. Praschma. Ten ostatni oświadczył, że nowa ustawa sprzeciwia się konstytucyi i że jedynym jej skutkiem będzie nowe zaognienie stosunków na Górnym Ślązku i wzrost radykalnego ruchu narodowego. Inni mówcy uznawali wprawdzie wyjątkowy charakter ustawy, widzieli w niej «wiele okrucieństwa», ale sądzili, że ją usprawiedliwia «konieczność państwowa», że jest to «akt rozpaczliwej obrony niemczyzny». Polscy członkowie izby panów milczeli, przemawiał tylko ironicznie p. Kościelski, zaznaczając, że Niemcy zwalczać pragną cnotę obywatelską, pracowitość, dzielność i oszczędność Polaków. Cieszycie się — powiedział — że ruch narodowy nie odezwał się w Prusiech Wschodnich. Poczekajcie, jeżeli rząd nadal tak postępować będzie, postara się sam, aby ruch wszechpolski i tam się odezwał. Mamy uzasadnioną nadzieję, że zapowiedź p. Kościelskiego spełni się prędzej, niż sam mówca myślał, nie dlatego, że rząd pruski swoją polityką ruch ten wywoła, ale dlatego, że jest to konieczność jego naturalnego rozwoju.

Wojna rosyjsko-japońska bez względu na jej wynik ostateczny jeden mieć będzie doniosły niewątpliwie skutek. Uwidoczniła ona słabość wewnętrzną Rosyi i jej rozstrój państwowy. Ta lekcya poglądowa nietylko politykom europejskim, ale i nam była potrzebną. Powodzenie Rosyi w polityce zewnętrznej, z którego właściwych przyczyn nie zdawano sobie dobrze sprawy i u nas w niejednej zawróciło głowie. Nawet rozumni zresztą ludzie ulegają w swych sądach zewnętrznym wrażeniom, nie uświadamiają sobie, że nie wszystko, co jest wielkiem, jest silnem.

Dotychczasowy przebieg wojny okazał, że Rosya jest słabszą, niż jej krytycy oczekiwali. Nie dlatego bynajmniej, że do wojny nie była należycie przygotowaną, chociaż się na nią oddawna zanosiło i chociaż poniekąd sama ją wywoła. To dowodzi tylko lekkomyślności i niedbalstwa, które nie świadczą wprawdzie o sile ale nie są jej zaprzeczeniem. Inne wymowne fakty wskazują, że machina rządowa w Rosyi, która jest jedynym widomym wyrazem jej siły, funkcyonuje bardzo licho. Co więcej niema już tego poczucia solidarności, które w wielkich wypadkach zawsze siłę Rosyi stanowiło. Wojna nietylko nie poło-

żyła kresu ruchom i demonstracyom antyrządowym, ale je nawet wzmocniła i w pewnej mierze wywołała. To jest objaw dla rządu groźniejszy niż nadużycia i braki administracyi, niż nieudolność wodzów, niż złodziejstwa intendentury.

Z różnych stron Królestwa i z Warszawy donoszą korespondenci do pism galicyjskich, że nietylko urzędnicy rosyjscy ale i wojskowi wykazują obawę, która może przybrać lub nawet przybiera formę panicznego popłochu, stwierdzając słuszność starego przysłowia «na złodzieju czapka gore». Dla nas nie jest ten fakt nowym ani niespodziewanym. Gdy w r. 1891 zjawiły się w Warszawie i nabrały rozgłosu odezwy, wzywające do święcenia setnej rocznicy Konstytucyi 3 Maja, przerażenie ogarnęło czynowników rosyjskich. Niektórzy nawet zawczasu wyprawili do Rosyi żony i małe dzieci. Pamiętniki znanego szpiega Wiśniewskiego świadczą, jaki popłoch wywołała w wysokich kołach rządowych rozpowszechniona w Królestwie i na Litwie odezwa bezimiennego i bodaj nie istniejącego wcale «Komitetu obrony narodowej», pouczająca ludność, jak się ma zachowywać na wypadek wojny Austryi z Rosyą. Echa tego popłochu dochodziły do Galicyi w formie korespondencyj do pism miejscowych. W Tomaszowie lubelskim, ba nawet w odległym od granicy o kilkadziesiąt mil Płońsku, przedsiębrano nadzwyczajne środki ostrożności.

To samo, tylko w znacznie większych rozmiarach, powtarza się teraz. W Krasnymstawie (gubernia lubelska) dniem i nocą krążą patrole wojskowe, Moskale boją się wieczorem wychodzić z domów, a dowódca pułku w obawie, żeby powstańcy (!) nie odcięli koszar od miasta, postawił silną straż z obu stron mostu. Powód do popłochu dał rzekomy zamach na sędziego śledczego. Zamach polegał na tem, że jakiś chłopak podczas przejazdu sędziego przez wieś wystrzelił w powietrze z pistoletu, który sam sfabrykował z rurki blaszanej.

Straż pograniczną w Tarnogrodzie zaniepokoił pop prawosławny z Różańca doniesieniem, że u starszego gajowego w lasach Ordynacyi zamojskiej ukrywają się powstańcy. Ma się rozumieć, zrobiono rewizyę i okazało się, że powód dał artykuł jakiejś gazety o powstaniu w Macedonii, który głośno czytał rodzinie swej ów gajowy.

Inny pop w tej okolicy wyprawił do miasta powiatowego Biłgoraja całą rodzinę na wiadomość, że z Galicyi przyjdą

«Sokoły» i wywołają powstanie. Wiadomość przywiózł z odpustu z Galicyi chłop miejscowy, którego jakiś jowialny Sokół zapewnił: «wkrótce tam do was przyjdziemy rżnąć Moskali». Naczelnik straży ziemskiej w porozumieniu z popem, wysłali tego chłopa, opłaciwszy go przyzwoicie, na zwiady do Galicyi, ażeby zasięgnął języka o prawdopodobnym terminie wkroczenia Sokołów. Wieść rozeszła się po całym powiecie biłgorajskim, a nawet po całej gubernii.

W Zamościu jakiś pijak dał znać naczelnikowi powiatu, że w lesie kosobudzkim widział już powstańców. Posłano natychmiast na obławę naczelnika straży ziemskiej i rotę żołnierzy, która przez 3 dni szukała powstańców. Podobną wyprawę urządzono również w lasach adamowskich.

W Siedlcach, mieście większem, bo gubernialnem, kiedy ochotnicza straż ogniowa wystąpiła podczas pożaru, zaraz zresztą stłumionego, w nowych mundurach, kilku żołnierzy, mając głowy nabite wieściami o powstańcach, pobiegło z raportem do *naczalstwa*, że wkroczyło wojsko polskie. Mężni oficerowie zatarasowali się w mieszkaniach i porządzali strzelnice. Dopiero po kilku godzinach, gdy wieść okazała się fałszywą, popopuszczali improwizowane warownie.

W Zagłębiu Dąbrowskiem, nie wiadomo na jakiej podstawie, Moskale wyobrazili sobie, że ogólna ich rzeź nastąpi 29-go marca. Urzędnikom zakazano tego dnia wydalać się z domu po 6-ej wieczorem, a w «niebezpiecznych» punktach ustawiono po kilkudziesięciu kozaków.

W niektórych okolicach doświadczeni naczelnicy, którzy pamiętają jeszcze rok 1863, pozaprowadzali na drogach straże chłopskie z rozkazem badania przejeżdżających i przechodniów i pytania o paszporty. Inni lepiej się oryentujący w stosunkach współczesnych uważają ten środek za niebezpieczny, bo dzisiaj chłopom dowierzać nie można.

I w Warszawie i na prowincyi Moskale stają się na ogół grzeczniejsi. Każdy, kto choć trochę zna ich psychologię, wie, że jest to oznaka nieomylna obawy. Popi w Lubelskiem i na Podlasiu, zachęcając lud do modlenia się o pomyślny wynik wojny, pozwalają, a nawet łaskawie zalecają używać prześladowanych dotychczas różańców i koronek. W samej Warszawie oznaką nurtujących Moskali obaw jest znaczne pomnożenie liczby szpiegów. Szpiegostwo staje się plagą Warszawy,

dającą się we znaki najspokojniejszym, najprawomyślniejszym ludziom.

Rzecz jasna, że ten strach przed czemś niewiadomem, co im grozić może, denerwuje strasznie władze rosyjskie. Gdyby obawy były określone, oparte na faktach, łatwiej byłoby się ich pozbyć. Ale walka z widmami, z urojeniami własnej wyobraźni, z tajemniczym, bezprzedmiotowym lękiem jest bardzo przykrą. Z tego zdenerwowania wypłynął zapewne pomysł, którego rzecznikiem na naradzie przedstawicieli władz rosyjskich u Czertkowa był podobno komendant cytadeli generał Kazbek. Doradzać miał on umyślne wywołanie zaburzeń, ażeby następnie stłumieniem ich krwawem zapewnić sobie na czas jakiś spokój. Przeważyło jednak zdanie, że należy się trzymać taktyki pojednawczej, tembardziej, że wobec nastroju społeczeństwa polskiego wywołanie zaburzeń byłoby zadaniem zbyt trudnem.

Z powodu demonstracyi warszawskiej, a raczej niewłaściwie nazwanego demonstracyą wybicia szyb w mieszkaniach członków komitetu, który pod przewodnictwem arcybiskupa Popiela zbierał składki na oddział warszawski Czerwonego Krzyża — *Czas* zamieścił artykuł, usiłący za pomocą przeinaczania faktów i wykrętnej argumentacyi dowieść, że Liga Narodowa, pod parciem żywiołów skrajnych we własnem stronnictwie, schodzi z drogi wyznaczonej w swej odezwie. Oprócz chęci powtórzenia raz jeszcze bajeczki o czapli na wysokich nogach, która chodziła po desce, t. j. rzekomej konieczności, zmuszającej każdą tajną organizacyę do poddawania się coraz radykalniejszym wymaganiom swych członków, artykuł *Czasu* ma jeszcze inny cel, który nieśmiało wyziera z zakończenia. W tem zakończeniu jest mowa o potrzebie zespolenia wobec ważności chwili wszystkich żywiołów rozsądnych i umiarkowanych, chociażby kosztem znacznych ustępstw.

W innym znów artykule *Czas*, opierając się na przechwałkach *Naprzodu* o postępach rzekomych agitacyi socyalistycznej wśród ludu wiejskiego w Królestwie, usiłuje wykazać, że działalność *Polaka* i wogóle demokratów narodowych przygotowuje grunt pod robotę socyalistów. Oba artykuły mają cel dosyć wyraźny — odciągnięcia żywiołów umiarkowanych, które w zaborze rosyjskim zbliżają się coraz bardziej do stronnictwa demokratyczno-narodowego. Ostatnia odezwa Ligi Narodowej zrobiła bardzo dobre wrażenie nawet w tych kołach poważnych,

które nie należąc do stronnictwa ugodowców, ulegały jednak ich wpływom. Co więcej, nawet pomiędzy ugodowcami znaleźli się tacy, którzy mieli odwagę oświadczyć, że solidaryzują się raczej z odezwą Ligi, niż ze stanowiskiem *Kraju* i moskalofilów petersburskich. Tych ludzi, politycznie niezdecydowanych, ale sympatyzujących ze stronnictwem demokratyczno-narodowem lub godzących się tylko z jego stanowiskiem w bieżącej chwili, *Czas* chciałby zastraszyć, a może łudzi się nawet, że jego naiwne argumenty wywołają secesyę w prawem skrzydle tego stronnictwa, ba, nawet w organizacyi Ligi.

Zkądinąd wiemy o różnych pomysłach koncentracyi żywiołów politycznie umiarkowanych lub przynajmniej doprowadzenia do skutku jakiegoś kompromisu, jakiegoś porozumienia pomiędzy stronnictwami. W lwowskiej *Gazecie Narodowej* zjawił się poważny artykuł, z ogólną znajomością stosunków w zaborze rosyjskim napisany, który nie wykrętnie, jak artykuł w *Czasie*, ale wyraźnie i otwarcie stawia kwestyę. Autor artykułu, ostro oceniwszy działalności t. zw. ugodowców, a wszechpolakom zarzucając tylko, że jawnie wywieszają sztandar niepodległości, sądzi, że w chwili dzisiejszej koniecznem jest porozumienie się jakieś pomiędzy dwoma głównemi, a właściwie jedynemi w zaborze rosyjskim stronnictwami. Polityka narodowa bowiem, zdaniem autora, które popiera przykładem Węgier, powinna się opierać na świadomem współdziałaniu dwóch stronnictw, kompromisowego i opozycyjnego. Zadaniem pierwszego byłoby realizowanie w odpowiedniej chwili ustępstw, do których skłania rząd działalność drugiego.

Na oba te artykuły dało wystarczającą odpowiedź *Słowo Polskie*. Gdyby istniało u nas stronnictwo kompromisowe, któreby zarazem, jak dzisiejsze stronnictwo rządowe na Węgrzech, było szczerze narodowem, to można byłoby mówić o porozumiewaniu się z niem. Dzisiaj takiego stronnictwa niema. Nie są niem bowiem ugodowcy petersburscy i ich nieliczni adherenci warszawscy, którzy tworzą właściwie stronnictwo rosyjskie w społeczeństwie polskiem.

Ugodowcy widzą, że stanowisko ich mocno jest zachwianem. Nie udała się akcya wiernopoddańcza w Warszawie, nawet projekt arcybiskupa Popiela, ukrywający wstydliwie swoją nieprzystojną lojalność figowym listkiem miłosierdzia chrześcijańskiego, zrobił fiasko. Nie udała im się wyprawa do Wiednia,

mająca na celu wciągnięcie Koła Polskiego do jakiejś akcyi przeciw Lidze Narodowej lub chociażby wogóle przeciw tajnej organizacyi. Chcą więc ratować resztki swego znaczenia i wpływu, gotowi są nawet do znacznych ustępstw, do daleko idących kompromisów.

»Ale to im się nie uda — pisze *Słowo Polskie* — nie pomoże zastraszanie społeczeństwa urojonemi niebezpieczeństwami. Żywioły umiarkowane w inną dziś zwracają się stronę i ani kłamanym patosem pociągnąć, ani wytartymi frazesami o »rozstroju« przekonać się nie dadzą. Ważność chwili wymaga istotnie solidarności wszystkich żywiołów, wszystkich stronnictw narodowych i mamy nadzieję, że ta solidarność, faktycznie już istniejąca, niebawem będzie we właściwy sposób określona i utrwalona, nawet bez kompromisu. Dla ugodowców jednak nie będzie w niej miejsca, opierać się bowiem ona musi na zgodnem pojmowaniu w danej chwili interesu narodowego, tego zaś interesu ugodowcy w zaborze rosyjskim i ich sojusznicy w Galicyi niezdolni są zrozumieć, o czem świadczy chociażby ostatni artykuł *Czasu*.

»Zwalczamy i zwalczać będziemy nadal bezwzględnie ich politykę nie dlatego tylko, że jest, zdaniem naszem, błędną i szkodliwą, ale dlatego przedewszystkiem, że jest w istocie swej antynarodową, że niema w niej ani polskiego rozumu stanu, ani polskiego uczucia.

»Dla ugodowców w zaborze rosyjskim nadeszła chwila, kiedy muszą *se soumettre ou se démettre*, albo poddać się wymaganiom opinii i polityki narodowej, a więc wyrzec się polityki własnej, albo się wyrzec łączności ze społeczeństwem polskiem i zostać tem, czem są już właściwie ugodowcy petersburscy — stronnictwem rządowem rosyjskiem«.

W dzisiejszej chwili porozumienie się pomiędzy stronnictwami polskiemi jest koniecznem, ale porozumienie się na podstawie polityki narodowej, której wskazania na dobę obecną są bardzo jasne i proste. Jeżeli t. zw. ugodowcy je przyjmą, jeżeli w działaniu swem do nich się zastosują, stracą dotychczasową swą podstawę, wyrzec się będą musieli swej taktyki uległości za wszelką cenę, a staną się po prostu stronnictwem narodowem, umiarkowanem i zachowawczem. Takie stronnictwo w zaborze rosyjskim wytworzyć się może, byłoby nawet pożądanem, gdyby się wytworzyło, a właściwie zorganizowało. Ale jeżeli znajdzie się w nim miejsce dla tych którzy się w dobrej wierze łudzili programem ugodowym, to nie powinno być miejsca dla tych, którzy politykę antynarodową prowadzą, którzy nie są zdolni ani czuć, ani myśleć po polsku i zarówno pod względem obywatelskim, jak pod względem moralnym nie zasługują na zaufanie. Dla tych niema nawet wskazanej wyżej alternatywy, dla tych jest jedno tylko wyjście, a raczej nakaz — *se démettre!* *J. L. Jastrzębiec.*

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Traktat angielsko-francuski i jego znaczenie wobec dotychczasowych sojuszów.

Od roku przeszło przygotowywało się zbliżenie między Anglią a Francyą; manifestacyą polepszonych już znacznie stosunków i zapowiedzią usunięcia w drodze umowy dawnych nieporozumień była wizyta króla Edwarda w Paryżu w maju r. z. Po rewizycie Loubeta w Londynie, grunt został dostatecznie przygotowany i między gabinetami obu mocarstw rozpoczęły się rokowania dyplomatyczne, które obecnie doprowadziły do pomyślnego wyniku.

Najważniejszym punktem tego traktatu, obejmującego wiele kwestyj kolonialnych, jest uznanie ze strony Francyi stanowiska zdobytego przez Anglię w Egipcie; w zamian za to ustępstwo Anglia zgadza się na pozostawienie w Marokko wolnej ręki Francyi, która oczywiście roztoczy opiekę nad zgrzybiałym sułtanatem, zobowiązując się nie fortyfikować brzegów naprzeciw Gibraltaru. Zresztą zarówno Egipt jak i Marokko mają zachować nadal pozory odrębnych państw. Kilka innych kwestyj, stanowiących oddawna przedmioty sporne, znalazło rozwiązanie w następnych artykułach umowy tak, że w tej chwili nie pozostało pomiędzy dwoma państwami żadnego powodu do nieporozumienia.

Prasa obu narodów wyraża zadowolenie z traktatu, tylko silnie imperyalistyczna *Morning Post* znajduje, że za ustępstwo w Marokko lord Lansdowne uzyskał w kwestyi egipskiej stosunkowo niewiele.

W porozumieniu powyższem mamy fakt pierwszorzędnego znaczenia politycznego i to taki, którego przed sześciu, a choćby nawet przed czterema laty prawie nikt nie mógł przewidywać. Ze wszystkich antagonizmów najżywszym, najbardziej nieuleczalnym mógł się wtedy wydawać antagonizm między Anglią a Francyą. Wobec niego schodziła na plan drugi idea odwetu za Sedan; chwilami nawet umysłom, biorącym rzeczy powierzchownie, mogło się wydawać, że Anglia łatwiej może dojść do porozumienia z samą Rosyą niż z jej sojuszniczką.

Jakie warunki zawiera formalny tekst przymierza francusko rosyjskiego, czy jest on tylko obronnym, czy w pewnej

mierze i zaczepnym, czy zwraca się on tylko przeciw Niemcom, czy i przeciw Anglii, — co do tego wszystkiego aż do czasu ogłoszenia snuć można tylko przypuszczenia. Ale wiadomo już, czem niezależnie od brzmienia umowy stał się *de facto* i jaką rolę odegrywał istotnie. Otóż polityka rosyjska wyzyskała go przedewszystkiem w interesie poprawienia swojego kredytu finansowego, a w znacznej mierze i moralnego, korzystając z tradycyjnej roli Francyi jako przedstawicielki cywilizacyi i opinii europejskiej. Kiedy zaś ze wstąpieniem na tron Mikołaja II Rosya podjęła wielką akcyę polityczną, zdołała zwrócić ostrze aliansu przeciw swojej dawnej współzawodniczce Anglii, w czem dopomagały jej liczne starcia dyplomatyczne między dwoma wielkiemi państwami zachodniemi z powodu spraw kolonialnych. Podczas wizyty cara w Paryżu i innych manifestacyj dwuprzymierza, brzmiała wprawdzie nuta antyniemiecka, ale z rokiem każdym stawało się widoczniejszem, że za faktycznego wroga uważa alians podwójny Anglię, nie zaś Niemcy, z któremi coraz częściej począł iść razem, zwłaszcza w Azyi Wschodniej.

Francya gorliwie popierała Rosyę we wszystkich aktach jej antyangielskiej polityki w Azyi i na półwyspie bałkańskim; prócz tego sama miewała z nią mniej lub więcej ostre zatargi w Afryce; po obu stronach kanału, zwłaszcza we Francyi, zapanował nastrój tak nieprzyjazny względem sąsiadki, że zaczęto przepowiadać blizką wojnę, a flotą zaczęto się interesować we Francyi więcej niż armią. Był to stan rzeczy najbardziej korzystny dla Rosyi, która sama, nie krępując się zbytecznie obowiązkami względem Francyi, miała niemal pewność, że w każdym większym zatargu z Anglią może liczyć na poparcie Francyi, która nie pominie sposobności ugodzenia w ten sposób wroga. Stanowiło to niepospolitej wartości atut w agresywnej polityce Rosyi w Azyi.

Porozumienie między gabinetami londyńskim a paryzkim kładzie kres wrogiemu stosunkowi, sprowadza zamiast niego stosunek przyjacielski, — musi więc w rezultacie zmienić charakter sojuszu rosyjsko-francuskiego. Nic tu nie pomogą artykuły inspirowanych dzienników, ani uroczyste zapewnienia prezydenta gabinetu Combesa, że Francya nie myśli się sprzeniewierzyć Rosyi i że nadal sojusz ten zamierza pielęgnować. Jako kombinacya bierna, jako gwarancya bezpieczeństwa ze

strony Niemiec i trójprzymierza, może dwuprzymierze pędzić jeszcze długie lata, mimo zainaugurowania nowej przyjaźni, ale w tym charakterze dla polityki rosyjskiej nie ma ono ani połowy dawniejszej wartości. Formalnie przecież i Włochy pozostały członkiem trójprzymierza, a nawet przed dwoma laty odnowiły tę umowę, a przecież po wznowieniu dobrych stosunków z Francyą w przynależności ich do dawnego związku zaszła głęboka i zasadnicza zmiana. Taką samą zmianę w stosunku do Rosyi zapowiada zawiązanie stosunków przyjaznych między Francyą a Anglią. Kanclerz Buelow, mówiąc o objawach przyjaźni francusko-włoskiej, wyraził przekonanie, że nie szkodzą one wcale trójprzymierzu, że żaden rozsądny mąż nie zrobi żonie awantury za to, że przetańczy parę *tour'ów* z innym tancerzem. Ciężki meklemburski dowcip miał na celu *faire bonne mine au mauvais jeu*, bo właśnie takie oddzielne polityczne *tour'y* po za obrębem oficyalnych sojuszów z konieczności muszą je osłabiać i pozbawić istotnej treści i znaczenia. Ma się rozumieć, jak wówczas Buelow, tak dziś przedstawiciele dyplomacyi moskiewskiej muszę udawać, że nic nie mają przeciw przyjaźni swojej sojuszniczki z Anglią. W tym też sensie poczynił wynurzenia ambasador rosyjski w Paryżu hr. Nelidow, który wyraził zadowolenie z dojścia do skutku nowego traktatu. Pewna część prasy francuskiej stara się dowieść, że z przyjaźni angielsko-francuskiej wyrośnie nowe trójprzymierze, skoro za pośrednictwem Francyi nastąpi jeszcze przyjacielska umowa między Anglią a Rosyą. Kombinacyę tę z zadowoleniem pochwyciła nasza prasa galicyjska, która widocznie jest przekonana, że cała polityka międzynarodowa obraca się około antagonizmu rosyjsko-niemieckiego.

Przewidywania takie przed rokiem były bardzo niepewne; dzisiaj, wobec wojny z Japonią, wobec antyrosyjskiej wyprawy do Tybetu wydają się poprostu nieprawdopodobnemi. Obecnie patrzymy na akcyę czynną aliansu japońsko-angielskiego przeciw Rosyi; z jednej strony Japonia toczy z nią wojnę o Koreę i Mandżuryę, z drugiej sama Anglia wydziera z pod wpływu Rosyi Tybet i stara się ubezwładnić faktycznych i domniemanych jej sprzymierzeńców. Nigdy jeszcze, z wyjątkiem chyba czasu wojny krymskiej lub kongresu berlińskiego, nie wysuwał się tak wyraźnie jak dzisiaj antagonizm angielsko-rosyjski i nigdy nie obejmował szerszej widowni. Wobec niego

współzawodnictwo niemiecko-rosyjskie stanowi czynnik podrzędny i nie objawia się wcale w ostrej formie. Od zbliżenia Anglii i Rosyi przeciw Niemcom o wiele jest prawdopodobniejsze obecnie zbliżenie Rosyi i Niemiec, zwracające się pośrednio lub nawet bezpośrednio przeciw Anglii i Ameryce.

Co zaś do Francyi, to nowa umowa przyniosła jej pewną niezależność od Rosyi ze wzmocnioną gwarancyą pokoju; prócz tego dała jej pożądany nabytek, który nie naraża jej na żadne niebezpieczeństwo. Nie ulega zresztą wątpliwości, że po za tem zawiera się w tym kroku polityki francuskiej pewna rezygnacya wobec górującej potęgi morskiej i kolonialnej angielskiej. Wielokrotnie zadawano sobie pytanie z kim pójdzie Francya, czy z Niemcami przeciw Anglii, czy z Anglią przeciw Niemcom, czy dla Egiptu zapomni o Alzacyi, czy dla Alzacyi o Egipcie. Bo jedna lub druga droga wydawała się nieuniknioną, o ile Francya chciałaby odzyskać w zupełności mocarstwowe stanowisko, utracone po roku 1870. Dzisiaj już można odpowiedzieć na to pytanie. Francya zrezygnowała już zarówno z Egiptu, jak z Alzacyi: jej polityka zagraniczna nie zwraca się już ani przeciw Niemcom, ani przeciw Anglii, lecz zaczyna toczyć się po linii najmniejszego oporu, mając na widoku przedewszystkiem utrzymanie pokoju.

Jeszcze przed laty kilkunastu panowała opinia, że Francya żyje nadzieją odwetu i odzyskania wielkiego stanowiska, które jeszcze za trzeciego cesarstwa miała w Europie; republika miała wymieść demoralizacyę i korupcyę rządów cesarstwa, miała odnowić i wzmocnić Francyę nawewnątrz, doprowadzić do najwyższej doskonałości jej armię i wlać w nią ducha pierwszej rewolucyi, wreszcie miała to dzieło stwierdzić i uwieńczyć odzyskaniem utraconych prowincyj i dominującego stanowiska w zachodniej Europie. Kiedy dzisiaj rzucamy okiem wstecz, prawie nie chcemy wierzyć, że opinia taka mogła panować, a jednak dość przerzucić ówczesne pisma, aby dojść do przekonania, że tak było istotnie. Uważano, że po wojnie pod wpływem rządów republikańskich nastąpiło odrodzenie, że Francuzów ożywia taki patryotyzm, jakim tylko pierwsza rewolucya i cesarstwo mogły się szczycić, że walka między partyami dotyczyć może tylko rzeczy wewnętrznych, ale nie idei odwetu i nie potęgi państwa, że wreszcie armia, jako wcielenie nadziei

narodowych cieszy się niezachwianym szacunkiem i miłością u wszystkich partyj.

Można bez przesady powiedzieć, że taka opinia panowała w Europie co do Francyi jeszcze przed laty kilkunastu; wprawdzie i wtedy były przenikliwe umysły, które fakt odrodzenia mocno kwestyonowały, ale nie one nadawały ton opinii. Zaczęła się ona zmieniać dopiero pod wpływem faktów z wewnętrznych stosunków francuskich i z rzeczywistych, z mgły dawnych frazesów coraz wyraźniej wysuwających się skłonności abdykacyjnych w dziedzinie polityki zewnętrznej. Szereg skandali, w które zamieszani byli najznakomitsi politycy francuscy, rozwiał złudzenia co do odrodzenia moralnego i okazał, że mieszczańska rzeczpospolita w korupcyi prześcignąć zdołała osławione panowanie Napoleona III. Równocześnie stawało się powoli coraz widoczniejszem, że o odwecie mało kto myśli na seryo, co więcej, nasuwają się nawet dzisiaj wątpliwości, czy wielu z tych, którzy odpowiednimi frazesami zdobywali sobie popularność, myślało o nim rzeczywiście.

Wreszcie sprawa Dreyfusa wywołała otwartą kampanię przeciw militaryzmowi i armii, która trwa do dziś dnia i rozszerza się coraz więcej; kampanii tej w ostatnich kilku latach towarzyszyć zaczyna objaw inny, otwarte wystąpienia przeciw myśli odwetu ze strony wpływowych polityków, podzielane niezawodnie przez liczne koła. Po Farzodzie objaw ten tłumaczono wrogim stosunkiem do Anglii, mówiono, że Francya szukać musi zbliżenia do Niemiec, aby poradzić sobie z Anglią. Przeszło lat kilka i to tłumaczenie okazało się iluzorycznem. Dzisiaj nie chce Francya słyszeć o walce ani z Niemcami ani z Anglią, a hasło pokoju zagłusza wszelkie inne. W polityce międzynarodowej, pomimo swej licznej i pod względem technicznym (nie organizacyjnym!) doskonałej armii, pomimo potężnej floty, Francya schodzić zaczyna na stanowisko państwa drugorzędnego; jest to fakt wyraźny, chociaż odbywa się powoli.

Uzyskaną obecnie pewność pokoju chce Francya, według swoich obecnych mężów stanu, zużytkować w celach postępu i obszernych reform wewnętrznych, dzięki którym pod względem cywilizacyjnym napowrót Francya kroczyć będzie na czele narodów.

Nie ulega wątpliwości, że Francya reform potrzebuje i że na tej drodze mogłaby zyskać sama znaczny przyrost sił i do-

brobytu i położyć wielką zasługę względem narodów innych na polu twórczej działalności, dając im wzory do naśladowania. Ale to, co w tej dziedzinie stworzyła trzecia rzeczpospolita, śmiało rzecz można, nie dodaje nic do dorobku cywilizacyjnego Europy. W najnowszym zaś okresie, od sprawy Dreyfusa, rządy rzeczypospolitej spoczęły w rękach takich ludzi, wobec których postacie ich poprzedników z przed lat dziesięciu jeszcze wyrastają na poważnych mężów stanu. Wartość umysłowa tych nowych kierowników nawy państwowej odpowiada wartości moralnej: chwila dzisiejsza okazuje się właśnie odpowiednią dla polityków, którzy swego czasu ugrzęźli w błocie Panamy, do tryumfalnego powrotu na arenę polityczną.

Poziomowi umysłowemu i moralnemu wysuwających się w tych warunkach działaczy odpowiada charakter «reform» wewnętrznych, które przeprowadza obecny gabinet. Hece antykościelne, prześladowania religii, będącej wyznaniem ogromnej większości Francuzów, dezorganizacya armii i marynarki — to główny owoc działalności prawodawczej i administracyjnej dzisiejszego rządu francuskiego. O ile się zdaje, na tej drodze pójdzie on dalej: zaraz po zawarciu powyższej umowy ukazała się pogłoska o dymisyi Delcasségo, jedynego prawdziwego męża stanu w obecnym gabinecie, którego musiano do czasu zawarcia umowy tolerować. Rzecz zbyteczna rozwodzić się nad wartością moralną i cywilizacyjną «reform», do jakich jedynie okazują się zdolni działacze w guście Combesa i Pelletana; dosadna ocena spotyka ich nawet ze strony takich polityków rzeczypospolitej, jak Waldeck-Rousseau i członkowie jego gabinetu.

Rzecz charakterystyczna dla socyalizmu we Francyi i zapewne nie tutaj tylko: kiedy wływ socyalistów na państwo staje się najsilniejszy, ekonomiczne postulaty przywódców idą na plan dalszy, a na pierwszy wysuwa się walka z religią, z armią i marynarką, słowem znane hasła kapitalistycznego liberalnego radykalizmu.

Przyglądając się uważnie objawom dzisiejszego życia publicznego we Francyi, jej politykom, którzy zamiast tworzyć rzeczy nowe, umieją tylko burzyć dawne podstawy wielkości Francyi, zastanawiając się nad całym okresem trzeciej rzeczypospolitej, która tak marną treść ukrywała tak długo pod szumnymi i pięknymi frazesami, która tyle obietnic rzuciła i nic z nich nie dotrzymała, zapytać można, czy istotnie przyczyną

niedomagania państwa jest system rządów, czy też jest on raczej objawem czegoś nierównie głębszego — chylenia się do upadku samego narodu wraz z państwem. Wielu wybitnych polityków i pisarzy jest zdania, że świetne dni Francyi już nie wrócą, że jest dziś ona gasnącą gwiazdą, która długo jeszcze rzucać może blaski w dziedzinie literatury, zapewne sztuki i nauki, ale do roli wielkiego państwa i narodu, do roli przodowniczki w dziele cywilizacyi już nie powróci. Prevost Paradol, który zginął śmiercią samobójczą w przeddzień niemal wojny i ruiny cesarstwa, umarł w tem przekonaniu, że ojczyzna jego już dawno przeszła swój zenit historyczny i że obecnie stacza się ku upadkowi. Gdyby żył dłużej, zobaczył wojnę, komunę i dzieje trzeciej rzeczypospolitej, nie miałby zaiste powodu zmieniać swego pesymistycznego zdania.

Ostatnia klęska floty rosyjskiej, która polega na zatopieniu pancernika Petropawłowsk z admirałem Makarowem, całym jego sztabem i prawie z całą załogą, liczącą przeszło 600 ludzi, na zniszczeniu pancernika Pobieda, na zatopieniu jednego, a jak późniejsze wieści niosły dwóch kontrtorpedowców rosyjskich, ta klęska zredukowała siłę eskadry port-arturskiej do mniej niż połowy dawniejszej siły liczebnej i odebrała załodze siłę moralną, którą admirał Makarow zdołał w nią wlać podczas swojego krótkiego dowództwa.

Fachowi sprawozdawcy niemieccy obliczają, że obecnie japońska flota jest trzy razy silniejsza od eskadry rosyjskiej, uwięzionej w porcie, i że jest dość silna na to, aby przeprowadzić ścisłą blokadę portu i prócz tego eskortować transporty. Tę sytuacyę na morzu zmienić może jedynie przybycie floty baltyckiej na wody Oceanu Spokojnego. Cała ta operacya nastręcza ogromne trudności i niemałe niebezpieczeństwa; krąży też wiele wersyj co do sposobu wokonania tej wyprawy. Są nawet sceptycy, którzy utrzymują, że nic z niej nie będzie, że rząd w ostatniej chwili z wyprawy tej zrezygnuje i nie zechce ryzykować reszty swojej floty. Od czasu do czasu ukazują się pogłoski, że flota baltycka popłynie nie przez Suez, lecz przez Morze Lodowate i cieśninę Berynga. Za jakie dwa lub trzy miesiące rzecz ta musi się rozstrzygnąć.

Działania wojenne na lądzie jeszcze się nie rozpoczęły. I Moskale i Japończycy po obu stronach rzeki Jalu zajmują silne pozycye. Prasa rosyjska i rusofilska dowodzi, że Japończycy okazali się niedołężnym przeciwnikiem, bo do tego czasu powinni już byli wylądować koło Niuczwangu albo koło Portu Artura i przeciąć komunikacye rosyjskie. Tego nie zdołali oni zrobić dotychczas, a obecnie już za późno, bo w zagrożonych miejscach stoją silne oddziały i same pozycye zostały wzmocnione. Przy czytaniu tego rodzaju artykułów odnosi się wrażenie, że Japończycy mieli wielki plan wojenny, który już został zniweczony. «Gdy się wojna zaczęła,—piszą *Peterb. Wiedomosti* — przygotowaliśmy się na gorsze ewentualności. W głębi duszy ukrywszy smutek i rozpacz, przygotowaliśmy się do utraty całej floty naszej, do utraty twierdzy naszej Portu Artura, do zburzenia kolei żelaznej i do długiej wyczerpującej wojny, z której wyjść zwycięzko nakazywał nam obowiązek, honor i godność Rosyi. Wszystkiego tego nie było. Uśmiechnęło się nam szczęście» i t. d. Tą drogą próbuje się wytworzyć sugestyę, że rzeczy idą nadspodziewanie dobrze!

Aby decydować o tem, czy plany Japończyków udały się, czy się nie udały, trzeba te plany znać i wiedzieć, jakie cele postawił sobie rząd japoński. Być może, że są one o wiele skromniejsze niż przypuszczają. Jeżeli wychodzi się z założenia, że chcą oni w wojnie obecnej wyrzucić Rosyan z Mandżuryi, odebrać jej oba porty wojenne, słowem zniweczyć do reszty jej potęgę na Dalekim Wschodzie, to rzeczywiście z każdym miesiącem szanse ich muszą się zmniejszać i zadanie stawać się niewykonalnem. Ale jest to przypuszczenie na niczem nie oparte. Japonia zapewne obrachowawszy się z siłami doszła do przekonania, że zadaniu temu przynajmniej na teraz nie sprosta, że chcąc je gwałtem przeprowadzić zgotowałaby sobie klęskę; aby powiększyć szanse zwycięztwa musiała więc ograniczyć cele. Na samym początku wojny Marchand, znany pułkownik francuski, bohater Faszody, wypowiedział zdanie, że Japończycy najrozumniej postąpiliby, gdyby się możliwie silnie usadowili na Korei i stamtąd nie ruszali, bo półwysep ten ma doskonałe warunki obronne. To samo mniej więcej utrzymuje major niemiecki Gaetke. Być więc może, że Japończycy oddawna doszli do tego samego zdania, i to objaśniałoby fakt, że jeszcze niedawno tylko sześć dywizyj japońskich było zupełnie zmobilizowanych.

Szybkie zajęcie Korei i wyrzucenie z północnej jej części Moskali tak podziałało na opinię, że puszczono w niepamięć to wszystko, co pisano przed wojną. Przeważnie uważano wtedy za teatr wojny Koreę, do której z jednej strony mieli wkroczyć Japończycy, a z drugiej Moskale. Przypominamy np. domniemany plan wojenny Japonii, który *Nowoje Wremia* podało przed samą wojną. Według tego planu Fusan miało być podstawą do działań lądowych Japończyków, stamtąd oddziały górskiej piechoty miały odbyć forsowny marsz do Seulu, starając się uprzedzić Rosyan i t. d. W stosunku do tych przewidywań Japończycy zamierzonego dzieła dokonali manewrami o wiele śmielszymi i szybszymi; uprzedzili oni Moskali nie w zajęciu Seulu tylko, lecz całej Korei. Tem lepiej dla nich. Nie wynika stąd wcale, aby chcieli podejmować więcej niż ryzykowną kampanię mandżurską, w celu dotarcia do Charbinu. Za przykładem tego, jakie zdania rozpowszechniały przed samą wojną oficyalne prawie pisma rosyjskie, niech posłuży cytata z dziennika *Nowyj Kraj* organu admirała Aleksiejewa. «Przewaga na morzu, o którem wspomina szanghajska gazeta, obecnie już nie jest po stronie Japonii, a więc nie warto już mówić o zamykaniu portów i floty rosyjskiej. Co się zaś tyczy wysadzenia armii w Korei..... to niech sami Japończycy rozstrzygają, czy warto w dzisiejszych warunkach rozpoczynać tę zabawę w żołnierzyków *(w sołdatiki)*». Dla oceny wypadków wojennych, dobrze jest pamiętać, co pisano przed wojną.

Rząd rosyjski używa wszelkich sposobów w celu okłamywania opinii publicznej, którą stara się przekonać, że rzeczy są na najlepszej drodze. Wiceadmirał Stark, dowódca eskadry w Porcie Artura, otrzymał zamiast rozgłoszonej już przez prasę zagraniczną nagany, order Włodzimierza II klasy. Aktem blagi na wielką skalę jest również utrzymywanie admirała Aleksiejewa na stanowisku naczelnego wodza na Dalekim Wschodzie. Powszechnie pytają, z jakiej racyi powierzono naczelne dowództwo człowiekowi, który okazał się marnym admirałem, a jest chyba jeszcze gorszym generałem lądowym. Fachowy organ niemiecki poddał niedawno surowej krytyce całą organizacyę naczelnej komendy na teatrze wojny. Zadecydował tu zapewne wzgląd na opinię. Z wielką pompą i hałasem utworzono namiestnictwo i ogłoszono Aleksiejewa za wielkiego męża, w którego ręce włożono też olbrzymią władzę. Odwołanie admi-

rała byłoby niejako przyznaniem się ze strony rządu do błędu, utrzymał się więc Aleksiejew na stanowisku wodza naczelnego, ale jak się domyślają powszechnie — tylko nominalnie do czasu.

S. Ko—wicz.

LISTY WARSZAWSKIE.

Warszawa w kwietniu.

I.

Składki na wojnę i na rannych.

Wojna na dalekim Wschodzie spotęgowała znacznie zajęcie się sprawami politycznemi w Królestwie. Nie tylko dla tego, że wszyscy rozumiemy lub odczuwamy wpływ przebiegu wypadków na losy naszego narodu, ale dlatego przedewszystkiem, że społeczeństwo nasze stanęło wobec realnych zagadnień, na które zachowaniem się swojem musi dać odpowiedź.

Większość oświadczyła się za stanowiskiem zajętem przez Ligę Narodową, to znaczy postanowiła, nie występując czynnie, prowadzić dalej z wzmożoną energią dotychczasową pracę narodową. Myliłby się jednak ktoby sądził, że stanowisko takie biernem nazwać można; utrzymanie się na niem wymaga wytężonej pracy i przezwyciężenia rozpowszechnionego w społeczeństwie braku odwagi cywilnej i niewyrobienia politycznego szerokich jego warstw.

Przeciwko stanowisku zajętemu przez opinię narodową wystąpiło nasze stronnictwo moskalofilskie. Rząd zaś wytęża wszystkie siły, by wywołać objawy sympatyi dla sprawy rosyjskiej w formie składek na cele wojenne i na rannych.

Krętactwa ugodowców, bo inaczej akcyi niepowołanych przewodników narodu nazwać niepodobna, nie powiodły się zupełnie. Adres wiernopoddańczy musiał być zamieniony na oddział sanitarny, ale i ten nawet przyszedł na świat w postaci zwyrodniałej, bo jako katolicki oddział Czerwonego Krzyża, zorganizowany przez Arcybiskupa Popiela. Mimo usilnej agitacyi za oddziałem i entuzyastycznych artykułów *Kraju*, *Słowa* i *Kuryera Polskiego*, nie cieszy się to przedsięwzięcie wielkiem powodzeniem, słusznie bowiem za akt polityczny, a nie za czyn humanitarny jest poczytywane. Dotychczas prócz hojnych ofiar

kilku magnatów i bankierów zdołano z drobniejszych składek zebrać zaledwie 8000 rubli.

Najlepszym dowodem niepopularności katolickiego oddziału Czerwonego Krzyża jest dobre przyjęcie przez opinię w Warszawie protestu narodowych sfer robotniczych, wyrażonego, w braku wszelkich innych sposobów, przez wybicie szyb kilku członkom komitetu, powołanego przez Arcybiskupa do zbierania składek.

Dziwnem jest zaiste, że przedstawiciele t. zw. ugody nie rozumieją, że wywołując objawy lojalności, działają w myśl pragnień rządu rosyjskiego, któremu takie objawy są dla jego celów politycznych najwidoczniej potrzebne. Mamy na to dowód w tej usilnej agitacyi, jaką prowadzą urzędnicy rządowi, gubernatorzy, naczelnicy powiatu, komisarze, prezesi sądów i t. p. celem zyskania ofiar «dobrowolnych» na wojnę i na Czerwony Krzyż. Sądzę, że nie chodzi im o te sumy, które z trudem wielkim tym sposobem z ludności polskiej wyduszą lecz o moralną stronę sprawy — o zyskanie dowodów lojalności gubernij kraju nadwiślańskiego.

Car nie przyjmuje ofiary jednej z gmin rosyjskich, a *Nowoje Wremia* w półurzędowym komentarzu powiada:

»Każdy minister, każdy gubernator, każdy marszałek szlachty, naczelnik ziemski, sprawnik powiatowy, każdy wójt — powinien się starać o to, ażeby ofiary dobrowolne i patryotyczne nie były przymusowemi, z obłudnem zabarwieniem, naruszającemi bez potrzeby podstawy dobrobytu.

Ze wskazówek Najwyższych każdy zrozumie, że wszystkie owe komitety, tworzone przez gubernatorów i różnych przedstawicieli państwowych celem ściągania z mas ludowych i wszelkich innoplemieńców ofiar, stanowiących dziesiątki i setki tysięcy rubli, nie mogą być przyjęte do serca Najjaśniejszego Pana, jeżeli pochodzą z poborów przymusowych, w których policya bierze żywszy udział niż serca ofiarodawców«.

Pomimo to przymusowe zbieranie składek trwa dalej, a oświadczenie powyższe zrozumiemy dopiero wtedy, jeżeli sobie uprzytomnimy, że dla nieznającej stosunków tutejszych opinii europejskiej napływanie ofiar, pomimo wyraźnych oświadczeń cara, większe jeszcze będzie miało znaczenie.

Warto się bliżej przyjrzeć jak wyglądają owe tak zwane «dobrowolne» ofiary. Muszą je dawać przedewszystkiem urzędnicy na służbie państwowej, którym bez pytania przy wypłacaniu pensyi strącają 1% do 2% na cele wojenne, robiąc w do-

datku często zastrzeżenie, że kwity na zapłacone składki muszą być odsyłane do wyższej władzy. Na wszystkich w jakikolwiek sposób zależnych od rządu, np. adwokatów, rejentów i t. p. starają się wywrzeć presyę, by dawali składki. Naczelnicy powiatu zwracają się nawet do obywateli ziemskich, rozsyłając im listy składkowe na Czerwony Krzyż. Gubernatorowie wezwali księży, by z ambon ogłosili składki, a niedołężny Arcybiskup, niepoczytalny już zupełnie, przyzwolił na to nadużycie kazalnicy. Szczególną wreszcie uwagę zwrócono na magistraty miejskie i gminy wiejskie, które rząd dotąd jeszcze uważa za główną podporę panowania swojego w Polsce.

Znając społeczeństwo nasze, zdezorganizowane przez politykę rządową, nienawykłe do solidarnego występowania i aktów odwagi cywilnej, w masie zaś ludu niewyrobione politycznie, nie można się było spodziewać, by usiłowania rządowe trafiły na należyty opór. Wszyscy zrozumieli dobrze, że dawać nie należy, ale nie wszyscy posiadali dość odwagi cywilnej, by składek stanowczo odmówić. Nawet wśród najmniej zależnych od rządu obywateli ziemskich znaleźli się tacy, którzy pieniądze naczelnikowi posyłali.

Duże składki popłynęły od miast, nie dziwi nas to jednak zupełnie, jeżeli będziemy pamiętali, że miasta nasze nie posiadają samorządu, że w większych — uchwalili składkę urzędnicy moskale, a w mniejszych burmistrze wraz z kilkoma ławnikami, mianowanymi najczęściej przez tychże burmistrzów z pośród najciemniejszych lub najtchórzliwszych ludzi. Pomimo tak niesprzyjających okoliczności znalazły się jednak zarządy miejskie uczciwsze i odważniejsze. Przytoczę tutaj jeden tylko przykład.

W miasteczku powiatowem gubernii warszawskiej Płońsku ławnicy nie zgodzili się na propozycyę naczelnika powiatu i na wojnę nic uchwalić nie chcieli. Wówczas burmistrz, znany szeroko łapownik, zwołał zebranie wybitniejszych obywateli Polaków i żydów i przedstawił im całą sprawę. Wszyscy Polacy głosowali za tem, by z racyi wojny dać na kartofle dla najbiedniejszych Polaków i żydów po 250 rubli; żydzi natomiast, na których w takich wypadkach zupełnie liczyć nie można, głosowali za daniem z funduszów miejskich na wojnę 1000 rs. Za odmową była większość, burmistrz nie dał jednak za wygranę, ze zwykłą czelnością moskiewskiego urzędnika sfałszo-

wał protokół, o którym napisał, że zebrani jednogłośnie zgodzili się na wyasygnowanie z kasy miejskiej tysiąca rubli na wojnę. Protokół ten burmistrz dał obywatelom miejskim do podpisu, żydzi podpisali prawie wszyscy, z Polaków zaś tylko trzech, używających jak najgorszej w mieście opinii.

Podobny nacisk wywiera rząd na gminy wiejskie. Naczelnicy powiatu i komisarze objeżdżają wszystkie gminy i na zebraniach proponują wszędzie oddanie części z dochodów kas gminnych na flotę i na rannych. Jest objawem bardzo znamiennym, że Moskale nie proponują składek lub nadzwyczajnych podatków, wiedzą oni dobrze, że lud wiejski jest już tak dalece oświecony i wszelkim składkom przeciwny, że w ten sposób nic by nie wskórali. Zwrócili się natomiast bardzo dowcipnie do kas gminnych.

Kasy gminne zostały w Królestwie założone z procentów od funduszu użyteczności publicznej, zabranego Towarzystwu kredytowemu ziemskiemu. Rząd przeznaczył z tych procentów około 170.000 rubli na założenie kas w latach 1866 i 1868. Początkowo powstało po 3 kasy na powiat, później zaś z dochodów tych kas i z pieniędzy uchwalonych przez same gminy zakładano dalsze kasy, tak iż obecnie każda gmina posiada swoją własną. Ponieważ od wydawanych pożyczek pobierają 8%, a osobom składającym w kasach pieniądze wypłacają 6%, więc kasa ma dość znaczne dochody. W ten sposób nagromadziły się w nich pokaźne kapitały, obliczane w przybliżeniu na 5,000.000 rubli. Według ustawy gminnej, zebrania mają prawo rozporządzać tymi kapitałami według swego uznania, a więc przeznaczać je na różne potrzeby miejscowe. Dotychczas jednak nie liczono się z tem i dawano jedynie, zwykle trzecią część rocznych dochodów, na gratyfikacye dla urzędników pracujących w kasie.

Gminy nie wiedziały naogół, że mają prawo tak znacznymi funduszami rozporządzać, i z tej niewiadomości postanowili skorzystać naczelnicy i komisarze, by zagarnąć pieniądze na cele wojenne. Nie posiadamy w tej chwili dostatecznych materyałów, z których możnaby wyciągnąć wnioski o zachowaniu się gmin w całem Królestwie, z wiadomości dorywczych jednak, jakie mamy z gubernij Łomżyńskiej i Płockiej, można sobie wyrobić pogląd na taktykę władz i na usposobienie ludu wiejskiego. Władze postępowały w sposób mniej więcej jedna-

kowy wszędzie. Przyjeżdżał naczelnik lub komisarz i po dłuższem przemówieniu, w którem przypominał, że upływa 40 lat od chwili uwłaszczenia włościan, że należałoby więc czemś swoją wdzięczność zaznaczyć, proponował by skorzystać z nadarzającej się sposobności i dać coś na cele wojenne z fuduszów kasy gminnej. Bardzo często tłómaczyli Moskale, że fundusze te i tak do rządu należą, że rząd mógłby je zabrać, ale komisarz jest tak przychylnie usposobiony, że chce dać włościanom sposobność do zaznaczenia swych uczuć wiernopoddańczych. «Cesarz się dowie — tłómaczył czynownik — że gmina taka a taka uchwaliła pieniądze na wojnę i wyrazi swe zadowolenie». Do takich środków uciekali się w gminach bardziej ruchliwych, w innych spisywali wprost uchwałę, a obecnym kazali się podpisać, lub też dodawali uchwały na arkuszach poprzednio *in blanco* podpisanych.

Lud w znacznej części był przeciwny ofiarom i rozumiał dobrze dlaczego dawać nie chce, wobec jednak przemocy, nadużyć i istnienia wszędzie garści chwiejnych i uległych, często nie potrafił skutecznie się sprzeciwić. Należy też pamiętać o tem, że większość uważała pieniądze w kasach gminnych leżące za rządowe i rozumowała w ten sposób, że rząd zabiera pieniądze, z których gmina i tak niema żadnego pożytku.

Do tej chwili doszła wiadomość o stanowczym oporze jednej tylko gminy Dylewo, w gub. Łomżyńskiej (jeszcze nie wszędzie odbyły się zebrania gminne). W Dylewie po przemówieniu naczelnika treści podobnej do podanej powyżej, kurpie odpowiedzieli, że skoro na zabranie pienięＤzy nie potrzeba ich uchwały, to niechże naczelnik sobie pieniądze bez tego zabierze. Naczelnik, widząc opór, zaczął przemawiać do serc zebranych, tłómacząc, że tam są przecież ich bracia i synowie; gdy na to jeden z obecnych krzyknął, żeby nic nie dawać, zwrócił się Moskal do niego i z oburzeniem zapytał: «Nie masz tam widać brata ni krewnego, skoro tak protestujesz...» kurp nie zmieszany odpowiedział: «Panie naczelniku, tam tysiące są moich braci rodzonych». Wzburzony naczelnik miotał się, wymyślał, w końcu, widząc że nic nie wskóra, wsiadł na brykę i pojechał.

W gminie Długobórz, gub. Łomżyńskiej naczelnik przyprowadził na zebranie kilku ludzi nie mających prawa brania udziału w zebraniu i ci zaraz po jego przemówieniu zaczęli

krzyczeć, że trzeba dać pieniądze. Pomimo protestu całego zebrania, naczelnik podchwyciwszy to, że jeden z jego zauszników krzyknął: «damy 100 rubli», a drugi: «czterysta», zwrócił się do zebrania i kazał tym co są za ofiarą 100 rubli przejść na prawo, a pozostałym na lewo. Obecni nie spostrzegli się, że nie powinni wcale głosować, każdy sobie pomyślał, że lepiej dać mniej i przeszli wszyscy na prawo.

W gminie Szepietów na propozycyę naczelnika zebranie wybrało z pośród siebie komisyę, która po naradzie zaprojektowała, by z dochodów kasy, które wynosiły kilkanaście tysięcy rubli, zakupić narzędzia ogniowe dla wsi, ogiery i pobudować nowy urząd gminny. Przy tej repartycyi zostało 1000 rubli, przyczepił się do nich naczelnik i mimo gorących protestów kazał wpisać do uchwały te 1000 rubli na Czerwony Krzyż. A że uchwała była z góry *in blanco* podpisana, więc pomimo oporu poszło 1000 rb. na wojnę.

Przykładów podobnych moglibyśmy przytoczyć jeszcze szereg cały. Po zebraniu szczegółowych danych nie omieszkamy należycie oświetlić całej sprawy. Z tego już co dotychczas wiadomo, można wyciągnąć oczywisty wniosek, że ogłaszane w pismach urzędowych ofiary inaczej zupełnie wyglądają, jeśli się bliżej przypatrzyć sposobowi ich wymuszania.

Trzeba być choć raz na zebraniu gminnem, ażeby zrozumieć trudności, jakie przezwyciężyć trzeba, żeby przeprowadzić uchwałę wbrew woli naczelnika lub komisarza, popieranych najczęściej przez zależnego od nich wójta i pisarza. Oto maleńki obrazek. Naczelnik naznacza zebranie na 10-tą rano; schodzą się ludzie, bo nieobecni płacą po 50 kop. kary, na oznaczoną godzinę, a pan naczelnik przyjeżdża o godzinie 4-tej po południu. Wójt, choć ma do tego prawo, nie rozpoczyna zebrania, boi się bowiem naczelnika, ażeby więc czas czekania skrócić i później po uchwale wcześniej iść do domu, włościanie podpisują się w kancelaryi na białym arkuszu papieru, przeznaczonym do wpisania później uchwały. Nadjeżdża naczelnik, tłum złożony z kilkuset osób uspakaja się i po wysłuchaniu jego przemowy zaczyna objawiać swoje zdanie krzykami protestu lub przyzwolenia. Trudno coś w takich warunkach wytłumaczyć lub przeprowadzić, bo ten lepszy, który głośniej krzyczeć potrafi. W końcu naczelnik na oko szacuje, za czem jest większość i każe pisać uchwałę. Ludzie kontenci, że się zebra-

nie skończyło, a pisarz mając podpisy, pisze co mu się tylko podoba. Proszę zwołać 500 najbardziej parlamentarnie wyrobionych ludzi i kazać im obradować w podobnych warunkach, a z pewnością rady by sobie nie dali. Tembardziej rady sobie dać nie może nasz włościanin lub drobny szlachcic, który praw mu przysługujących nie zna, a w naczelniku przywykł widzieć samowładnego pana; inteligencya zaś prowincyonalna zwykła trzymać się jak najdalej od spraw gminnych.

Wojna przeciągnie się prawdopodobnie jeszcze długo, będą więc nieraz jeszcze żądać «dobrowolnych» ofiar od gmin i dlatego cała ta sprawa jest bardzo aktualna. Sądzę, że włościanie, gdy się spostrzegą, że w sposób tak bezczelny zabrano miliony rubli, nauczeni doświadczeniem postawią się ostrzej i obronią się przemocy.

St. Bicz.

Warszawa w kwietniu.

II.

Sprawa Zienca.

Dnia 26 marca r. b. stał się w Warszawie na sali sądowej fakt znamienny, rzucający snop jasnego światła na nienormalność warunków naszego życia. Izba sądowa warszawska musiała uznać za dowiedziony fakt zbrodni Zienca, polegający na usiłowaniu zgwałcenia leżącej w szpitalu Dzieciątka Jezus chorej Koźlińskiej w roku 1898. Napisaliśmy powyżej: musiała — i określenia tego cofnąć nie możemy, ażeby zaś je uzasadnić, przytoczymy kilka szczegółów z przeszłości tego nader ciekawego procesu sądowego.

Wniesiona w r. 1899 do sądu skarga Koźlińskiej na ówczesnego profesora Uniwersytetu warszawskiego Zienca poparta została przez tak liczne dowody, że władza prokuratorska nie mogła śledztwa umorzyć i musiała sformować akt oskarżenia. Sąd okręgowy po tygodniowych roztrząsaniach sprawy uznał winę zbrodni Zienca i skazał go, po pozbawieniu praw, na półtrzecia roku rot aresztanckich. Aczkolwiek ta kara, była o 2 lata niższą, niż ją sąd powinien był wymierzyć wedle zasad kodeksu, to jednak urząd prokuratorski nie zaprotestował co do tej nieformalności, chociaż protestować miał obowiązek. Odwołał się jednak z apelacyą do sądu wyższego obrońca poszkodo-

wanej, której sąd nie przyznał pretensyi, wynikającej z pogorszenia stanu zdrowia, spowodowanego uderzeniami podczas walki z Ziencem. Zieniec, nie mając nic do stracenia, a zawsze licząc na to, że w sądzie, złożonym ze swych rodaków, skutecznie może przykrywać swą zbrodnię przez zwalanie wszystkiego na «polską intrygę», — odwołał się również z apelacyą od wyroku, dowodząc swej niewinności i przytaczając, że jest ofiarą owej uknutej przeciw niemu «polskiej intrygi». I nie pomylił się w tych szlachetnych rachubach protegowany Apuchtina.

W normalnych warunkach życia, wszędzie ogólny głos sędziów, powołanych do sądzenia sprawy, wyraziłby oburzenie i dał należytą odprawę takiej apelacyi, urągającej najelementarniejszemu poczuciu sprawiedliwości. Ale Zieniec znał dobrze sumienia swoich rodaków, grał na pewne — i uratował swoją osobę od pozbawienia praw i od zamknięcia w więzieniu. *Similis simili gaudet.* Izba sądowa, złożona z takich samych moralnie, jak Zieniec, jednostek, w listopadzie 1901 r., uchyliła wyrok skazujący Zienca i uniewinniła go, a nadomiar wszystkiego w uzasadnieniu wyroku oszkalowała dobre imię Koźlińskiej, chociaż w procesie osiągnięto niezbite dowody, że Koźlińska była osobą czystą i niewinną. Zbrodniarza trzeba było osłonić za wszelką cenę, a ponieważ dowodów zbrodni nie można było obalić, chwycono się zatem środka ostatecznego: wyratowano zbrodniarza na tej podstawie, że Koźlińska wiedziała o co Ziencowi chodzi i na życzenie jego przyzwoliła.

I znowu urząd prokuratorski milczał, wyrokiem uniewinniającym się zadowolnił i protestu kasacyjnego do Senatu nie założył, chociaż było to jego obowiązkiem. Ale odwołał się znowu do Senatu obrońca poszkodowanej, przedstawiwszy w swej skardze krzyczącą bezprawność wyroku Izby sądowej wraz z całym szeregiem formalnych pogwałceń ustawy, których czujne oko dozoru prokuratorskiego widzieć nie chciało. Chwiały się losy sprawy w Senacie. Nic dziwnego, na ten bowiem czas zamieszkał w Petersburgu Zieniec i zarówno osobiście, jak i przez różne wpływy starał się przeprowadzić zatwierdzenie wyroku uniewinniającego. Być może, że w innych warunkach osiągnąłby upragniony skutek, ale w tym wypadku głos skarżącego brzmiał tak donośnie, skarga przytaczała taki szereg nadużyć sądowych, że Senat, owa najwyższa instancya sprawiedliwości, nie mógł dopuścić do zatwierdzenia wyroku bez

zbyt głośnego skandalu. Widocznie głos rozsądku czy upamiętania wziął w Senacie górę, bo Senat wyrok Izby w maju 1902 r. skasował i nakazał powtórne osądzenie sprawy przez inny komplet sędziów. W uzasadnieniu orzeczenia Senatu wyrażono, że Izba sądowa uniewinniła Zienca na podstawie samowolnych i niewypływających z materyału dowodowego przypuszczeń, i odrzucając fakt gwałtu, stanęła w zupełnej sprzeczności z niewątpliwemi świadectwami.

Zdawałoby się, że teraz już zbrodniarz powinien ponieść karę. Ale nie! Ponieważ urząd prokuratorski nie założył protestu, przeto, na mocy ustawy, Zieniec już nie mógł być skazany na karę nawet w razie ustalenia faktu zbrodni przy ponownem sądzeniu sprawy. Na podstawie więc orzeczenia Senatu Izba sądowa rozpatrywała jedynie pytanie: czy fakt zbrodni jest dowiedziony, jeżeli zaś tak, czy akcya cywilna poszkodowanej ma być uwzględnioną.

W tym stanie akta sprawy powróciły do Izby sądowej. Poszkodowana niedożyła jednakże końca procesu i niedoczekała się rehabilitacyi swego honoru. Podczas walki z Ziencem, opierając się gwałtowi, Koźlińska została rzucona przez Zienca dwukrotnie na twarde sprzęty żelazne, pokaleczyła sobie bok i w następstwie musiała się poddawać szeregowi bolesnych operacyj wycięcia 6-ciu próchniejących żeber. Te przejścia stargały do reszty wątły już przedtem organizm chorej, która, po tułaczce ze szpitala do szpitala, zmarła w marcu 1903 roku.

Wkrótce potem Izba wyznaczyła termin sądzenia sprawy, ale obrońca Zienca wynalazł pretekst do odroczenia procesu, oznajmił bowiem, że jego klient, który do Izby nie przybył, pragnie dać wyjaśnienia osobiście. Izba uwzględniła to żądanie i sprawę odroczyła, dopuszczając do procesu, zamiast zmarłej Koźlińskiej, jej rodzonego brata, w imieniu którego występował w dalszym ciągu ten sam adwokat, Kijeński. Nareszcie po upływie całego roku, po ponownych zwłokach, Izba sądowa 26 marca r. b. przystąpiła do rozbioru sprawy. Jak już zaznaczyliśmy, była zmuszoną uznać fakt zbrodni Zienca za dowiedziony. Była zmuszoną, bo orzeczenie Senatu kwestyę tę ostatecznie przesądzało. Że akcya cywilna poszkodowanej, drobna zresztą, nie została przez Izbę uwzględniona, to rzecz mniejsza, chociaż, wedle zasad prawa, słuszność jej nie mogła ulegać wątpliwości. Ale ponieważ tej kwestyi Senat nie przesądził,

bo nie był do tego powołany, Izba sądowa mogła sobie pozwolić na swobodę. Skorzystała też z niej, uchylając wszelkie pretensye do odszkodowania.

Honor nieszczęśliwej ofiary został przywrócony, zbrodniarz wskutek procesów usunął się z pośród naszego społeczeństwa i zamieszkał w Rostowie nad Donem. Mamy o jednego zbrodniarza mniej pośród siebie. I to coś warte.

Ale jest jeszcze inna strona sprawy. Wszędzie na świecie, gdzie rządzi zdrowy obyczaj, prokurator, zaniedbujący obowiązki swego urzędu, bywa ze służby usuwany, lub co najmniej degradowany; wszędzie, gdzie rządzi uczciwość publiczna, sędziowie, którym dowiedziono ferowania równie krzyczących wyroków, są usuwani ze swych stanowisk. U nas inaczej. Prokurator Izby, Wasiljew, świeżo otrzymał wysoki awans, mianowany bowiem został przez najwyższy ukaz oberprokuratorem rządzącego Senatu. Dalej wiceprokurator Izby, baron Raden, który uczestniczył w sprawie jako oskarżyciel i wespół z naczelnym prokuratorem Wasiljewem zaniechał założenia protestu, zajmuje po dziś dzień swe stanowisko. Nakoniec sędziowie, którzy uniewinnili Zienca, mianowicie członkowie Izby sądowej: Koch, Łubiencow i Prozorow, spełniają dalej swe czynności sędziowskie i naturalnie ani mowy niema o ich usunięciu.

Po za tem wszystkiem z procesu Zienca wynika jeden główny rezultat: zbrodniarz, któremu winę udowodniono, uniknął kary. To jest fakt niezbity. Dojście do tego rezultatu nie było, jak widzimy, łatwem. Dobrze się stało, że osiągnęliśmy dowód bezkarności zbrodniarza.

W nawiasie nie zaszkodzi nadmienić, że fakt uznania zbrodni Zienca w wyroku z d. 26 marca r. b. pozostał dla Warszawy nieznany: cenzura nie pozwoliła żadnemu dziennikowi ogłosić przebiegu sprawy, która toczyła się przy drzwiach ściśle zamkniętych. Przepuszczono tylko krótką wzmiankę, że Izba sądowa oddaliła akcyę cywilną Koźlińskiej. Rzecz prosta, że takie doniesienie każdego w błąd wprowadza. Jawne osłanianie zbrodniarza zostało konsekwentnie do końca przeprowadzone.

PRZEGLĄD PRASY.

= W artykule wstępnym został podniesiony mimochodem fakt, że pisma, zasadniczo przeciwne wszelkiej organizacyi narodowej, uciekają się do sposobów demagogicznych wpływania na opinię, karykaturują perspektywę faktów, uderzają w strunę sentymentalizmu itp. Jest to rzeczywiście metoda zdolna wytwarzać nastroje, ale niezdolna wytworzyć jasnej opinii o faktach życia politycznego.

Czas z całą gotowością pośpieszył wyilustrować to twierdzenie artykułem »Z psychologii rozstroju« w numerze z d. 15 kwietnia. Jest to uderzenie w wielki bęben z powodu wybicia szyb niektórym członkom Komitetu, zbierającym składki na .oddział warszawski Czerwonego Krzyża, uderzenie nieco spóźnione co do czasu, co się tłómaczy koniecznością dla tego pisma, gdy idzie o sprawy zaboru rosyjskiego, zasięgnięcia inspiracyi od petersbursko-warszawskich jego przyjaciół.

Osnowa artykułu jest taka: Liga narodowa w swej odezwie potępiła z całą stanowczością wszelkie »niewczesne wystąpienia«, wszelkie »bezmyślne próby wywolywane przez nasze własne niedojrzałe żywioły«, tymczasem »niekarne i niesforne pierwiastki w obozie narodowej demokracyi« zaczęły działać na własną rękę, *Polak* rozpowszechnił w odbitce artykuł »podżegający wprost przeciw arcybiskupowi«, a za nim poszła ulica. Liga okazała się bezsilną wobec żywiołów radykalniejszych, a nie mogąc opanować ich wybryków i niemając odwagi skarcić głośno swawoli, zsolidaryzowała się z nią i skapitulowała przed ulicą. »Liga nie rozkazuje ale słucha, niema ona ani posłuchu ani powagi, któremi chełpić się lubi«. Wnioski ogólne wypływają same przez się: groźne niebezpieczeństwo zawisło nad »nieszczęśliwym krajem«, a jedynym puklerzem i obroną dla społeczeństwa przed falą warcholstwa jest dziś skupienie i solidarność« żywiołów umiarkowanych«.

Czas wie niewątpliwie doskonale, że jego charakterystyka sytuacyi jest zupełnie fałszywą, że wytyczne nakreślone przez odezwę Ligi były dotąd jaknajściślej zachowywane, ale szło mu o wytworzenie nastroju, o przedstawienie czytelnikom obrazu organizacyi narodowej zalanej falą ulicy, który od r. 1863 zawładnął polem świadomości politycznej jego stronnictwa. Jeszcze jeden dowód, że stańczycy pojęciami swemi o polityce ogólno-narodowej tkwią w okresie ostatniego powstania silniej, niż jakiekolwiek inne stronnictwo w Polsce.

Przytaczając wyrażenia z odezwy Ligi, powstające przeciwko wszelkim »niewczesnem wystąpieniom«, *Czas* przeoczył najważniejsze i jedynie odnoszące się do omawianego faktu: »ale też bezwzględnie nie dopuścimy do tego, ażeby z innej strony popychano nasz ogół do jakichkolwiek występów, ażeby prowokowano ludność manifestacyami wiernopoddańczemi i moskalofilskiemi«. Dopóki projekt lazaretu był niejako prywatnem przedsięwzięciem arcybiskupa, dopóty Liga zajmowała wobec niego stanowisko bierne, ufając, że hasło przez *Czas* rzucone: »nic za, nic przeciw«, znajdzie posłuch i za kordonem, wśród kół przyznających się do jego pokrewień-

stwa. Wkrótce jednak nadzieje te zawiodły: żywioły niekarne i niesforne zaczęły przemawiać od siebie w tonie coraz to silniejszym, *Kraj* ogłosił o zawiązaniu Komitetu, a gdy go z Warszawy przywołano do porządku, sam w roli Komitetu wystąpił. Przedsięwzięciu nadawano coraz wyraźniejszy charakter współdziałania Polaków w sprawie wojny, a więc charakter polityczny, i fakt ten w prasie rosyjskiej tak właśnie był komentowany; co więcej zamiast prywatnego zbierania składek poczęto nawoływać do nich z ambon, a więc demoralizować i prowokować naszą własną ludność.

Czas nie miał odwagi skarcić owych niekarnych żywiołów,. z dziecinnym uporem trzymał się starej wersyi o »filantropijnym« czysto charakterze oddziału Czerwonego Krzyża i bronił go bez zastrzeżeń, ale Liga Narodowa, w myśl swej odezwy, obowiązana była temu przeciwdziałać, to też odbitka z *Polaka* i głos naszego korespondenta z Warszawy w ostatnim numerze *Przeglądu Wszechpolskiego*, zajęły pod tym względem stanowisko identyczne i najzupełniej wyraźne.

Wybicie szyb przez rzemieślników warszawskich członkom Komitetu nie było żadną manifestacyą wobec rządu, ale samorzutnem wystąpieniem patryotycznej ludności przeciwko akcyi obrażającej jej uczucia, wystąpieniem przeciwko niekarnym narodowo żywiołom w łonie własnego społeczeństwa, nie miała więc Liga powodu faktu podobnego zwalczać, chociażby był wywołany przez socyalistów, nie szedł bowiem bynajmniej wbrew jej politycznej dyrektywie ani wbrew opinii narodowej ogromnej większości społeczeństwa w Królestwie. Jak słusznie zauważyło *Słowo Polskie* w swej odpowiedzi *Czasowi*, zatytulowanej »Rozstrój psychiczny«

»nie potrzebowała ona ani »karcić swawoli«, ani »pokazywać, że się tłumu nie boi«. Zresztą niejednokrotnie już dowiodła, n. p. podczas urządzanych w Warszawie manifestacyj studenckich i w sprawie protestów w gimnazyach przeciw nauce religii w języku rosyjskim, że umie kiedy potrzeba i nie obawia się poskramiać zbyt daleko idących zapędów żywiołów niesfornych«,

Forma mniej lub więcej brutalna powyższego wystąpienia gra tu rolę najzupełniej drugorzędną i nie ona niewątpliwie spowodowała oburzenie *Czasu*. Gdy socyaliści wespół z Rusinami wybili szyby w redakcyi *Słowa Polskiego*, nietylko *Czas* się na to nie oburzał, ale sama Redakcya nie brała tego bynajmniej do serca. Dlaczego? Bo wiedziała dobrze, że czyn ten nie był wyrazem opinii, z którą liczyćby się należało. Otóż o zajściu warszawskiem powiedzieć tego nie można i *Czas* wie dobrze, że manifestacya przeciwko fali warcholstwa idącej z Petersburga, niezależnie od swej formy, była bardzo popularną w Warszawie. Tam nie zrozumiano jej bynajmniej jako »rzucenie kamieniem na lazaret, na księdza katolickiego, na siostrę miłosierdzia«, jak to *Czas* utrzymuje w swoim demagogiczno-sentymentalnym tonie, ale jako przywołanie do porządku tych jedynych dziś niepoprawnych warchołów narodowych, którzy żadnej karności ani żadnego posłuchu znać nie chcą, nawet gdy dyrektywa wychodzi od sfer ich przynależności, które z iście rosyjskiem *nachalstwem* narzucają się społeczeństwu i prowokują je swem bezmyślnem politycznem partactwem.

Kto chce skupienia wszystkich żywiołów umiarkowanych, ten powinien przedewszystkiem wyrzucić żywioły nieumiarkowane i warcholskie ze swych własnych szeregów.

UWAGI.

Od początku obecnej wojny wojuje rząd rosyjski kłamstwem w zależnej od siebie prasie, komedyanctwem w swoich wynurzeniach i blagą w aktach oficyalnych. Dla podniecenia patryotyzmu, a w tym razie nienawiści do wroga, puścił w świat legendę o zdradzieckiem rozpoczęciu wojny przez Japończyków. Pomysł ten miał służyć tylko do użytku wewnętrznego, bo opinia w Europie powitała go ze szczerą ironią. Nawet rusofilskie dzienniki z półurzędowej prasy niemieckiej oświadczyły, że koncept podobny nie licuje z powagą państwa i jest obliczony na zbyt wielką ignorancyę w kwestyach prawa międzynarodowego. Wyciągnięto cytaty z kursu prawa międzynarodowego Martensa, radcy prawnego rosyjskiego ministeryum spraw zagranicznych i delegata na konferencyę w Hadze; w cytatach tych wymieniona powaga uznaje zwyczaj wypowiadania wojny po ostrem zerwaniu stosunków dyplomatycznych za przestarzały i obecnie rzadko już praktykowany. *Times* zapytuje, czy może rząd japoński miał obowiązek uprzedzić Moskali o miejscu i czasie pierwszego ataku? Komedyą jest naczelne dowództwo Aleksiejewa, komedyą potrzebną na to, aby zasłonić jako tako kompromitacyę rządu, który admirała obdarzył ogromną władzą, oddał mu do rozporządzenia wojsko lądowe i flotę i rozgłosil cuda o genialności tego polityka i wodza. Dość prędko zdążył się skompromitować i w jedym i w drugim charakterze i obecnie pozostaje na stanowisku najwyższego wodza figuranta.

Najbezczelniejszą jednak komedyę urządza rząd moskiewski u nas, ściągając »dobrowolne« składki i ofiary. Ma się rozumieć, chodzi mu nietylko o ruble, ale i o pozory wobec zagranicy, i o to, aby wytwarzać wśród naszej ludności moralny współudział w polityce zewnętrzej państwa. Ale na tle rzeczywistych uczuć ludności naszej usiłowania jego robią wrażenie wstrętne i komiczne. Państwo przez agentów swoich, wyciągające z kieszeni ludności grosz, nie w formie przymusowego podatku, lecz groźbą, chytrością, intrygą — to także okaz dekadentyzmu politycznego. Występuje ono względem nas w roli żebraka, wydrwigrosza, o ile zaś używa groźby — szantażysty. Taka treść istotna ukrywa się pod urządzaną przez rząd moskiewski farsą.

NOWE KSIĄŻKI.

G. Topór. Odbudowanie Polski, in 8-o, str. 174. Lwów 1904.

Są to trzy rozprawy polityczne, przedrukowane prawie bez zmiany z *Przeglądu Wszechpolskiego*, co nas uwalnia od bliższej ich oceny. Przypominamy tylko czytelnikom treść ich ogólną.

W pierwszej, największej, przeprowadza autor myśl, że odbudowanie Polski to nie jest tylko pozbycie się wrogów, którzy na ziemiach naszych rządzą, lecz równocześnie odrodzenie samego narodu i nabycie tych uzdol-

nień i przymiotów, bez których zdrowy, samodzielny naród istnieć nie może. W dalszym ciągu autor dowodzi, że bez głębokich przeobrażeń w duszy samego narodu, mowy być nie może o powodzenia powstań, choćbyśmy nawet posiadali siłę militarną, i we wzroście naszej siły społecznej, w konsolidacyi narodowej, we wszechstronnej walce, którą pod grozą istnienia prowadzić musimy z wrogami, nie wybuchowo jak dawniej lecz stale i bez ustanku, — w tem widzi warunki, które właśnie te pożądane przeobrażenia sprowadzą.

W rozprawce »Rewolucye i powstania« autor zbija archaiczny sposób myślenia z przed r. 1848, który przy zacofaniu naszej myśli politycznej do dziś dnia liczy dość wielu wyznawców.

W trzeciej rozprawce p. t. »Idea Polski niepaństwowej w literaturze i w życiu« autor poddaje ocenie odpowiednie teorye i znajduje w nich przykrytą szumnymi frazesami abdykacyę, a często gruby, brutalny utylitaryzm.

KRONIKA.

☐ Na skutek ciągłych nagabywań Czertkowa, rząd postanowił zreformować Towarzystwo Kredyt. Ziemskie. Reforma ta oczywiście pójdzie w kierunku zniszczenia autonomii tej ostatniej niezależnej instytucyi w Królestwie. Czertkowowi ten szczątek autonomii społeczeństwa polskiego oddawna był solą w oku. Przygotował on projekt reformy Towarzystwa, znoszący zasadę wolnego wyboru, na której Towarzystwo się opierało od początku blisko 80-letniego swego istnienia. Rząd ma mieć odtąd decydujący wpływ na obsadę stanowisk urzędniczych instytucyi: urzędnicy dawnych Dyrekcyj szczegółowych, zamienionych na filie prowincyonalne, mają nietylko być mianowani przez władze centralne Towarzystwa, lecz zarazem przedstawiani do zatwierdzenia rządowi. Projekt reformy Czertkowa stwarza w ten sposób zupełnie celowo źródło nieustannego fermentu w łonie instytucyi i ciągłych kolizyj z władzami. Wielkorządca starał się oddawna pozyskać dla swego projektu decydujące sfery ministeryalne i w tym celu przedstawiał Towarzystwo kredytowe, jako polityczne ognisko polskości, opóźniające rusyfikacyę kraju. Pomimo starań wpływowych członków towarzystwa u ministrów skarbu i spraw wewnętrznych, rząd zaakceptował w ostatnich czasach projekt Czertkowa. Przed kilkoma dniami do Arseniewa, delegata rządu w Dyrekcyi Głównej, przyszedł telegram ministra z zapytaniem, czy projekt reorganizacyi może być wygotowany przed 1-ym października. Ponieważ Arseniew odpowiedział, że z powodu nawału pracy projekt taki może być ułożony dopiero w połowie roku przyszłego, przeto do tego czasu sprawa pozostanie w zawieszeniu.

☐ Dla powiększenia »dobrowolnych« ofiar na cele wojenne, naczelnik jednego z powiatów gub. łomżyńskiej rozsyła następujący okólnik do obywatelstwa i zamożniejszych osób z pośród inteligencyi polskiej:

Wielmożny Panie!

Najjaśniejsza Pani Marya Teodorówna raczyła włożyć obowiązek na znajdujące się pod Jej Najwyższą opieką instytucye Rosyjskiego stowarzyszenia Czerwonego Krzyża — przynieść ulgę żołnierzom, znajdującym się na Dalekim Wschodzie, przelewającym swą krew i chorującym przy dzielnem spełnianiu swego obowiązku.

Jeden z oddziałów Czerwonego Krzyża znajduje się i w Łomży, lecz nadzwyczaj ograniczone środki nie pozwalają mu spełnić swe zadanie w możliwie najszerszych granicach,

jak również i z konieczną, w tym wypadku szybkością, dlatego też Pan Gubernator Łomżyński zwraca się przezemnie do Wielmożnego Pana o laskawą i spieszną ofiarę, ja zaś ze swej strony, znając ofiarność Wielmożnego Pana, jak również Jego prawdziwie altruistyczne uczucia, nie wątpię, że prośba ta moja zyska zupełne uznanie Wielmożnego Pana i osiągnie pożądany skutek, a cierpiący wskutek zadanych im przez nieprzyjaciół ran otrzymają należytą pomoc.

Ofiary mam zaszczyt prosić o łaskawe przyslanie na moje ręce.

Licząc na łaskawe spełnienie mej prośby pozostaję z szacunkiem.

(Podpis naczelnika powiatu).

Dokument tem się odznacza, że jest pisany po polsku!

□ W niedzielę, dnia 10 kwietnia r. b. wskutek pogłosek, że dnia tego wybuchnie powstanie, od rana silne warty stały na wszystkich rogach ulic w Janowie Lubelskim i krążyły patrole piesze i konne. Po południu pijany podoficer piechoty, bez czapki i bagneta, wpada do koszar kozackich z krzykiem: *naszich rieżut!* W tej chwili sotnia chwyciwszy sztucery, pieszo wystąpiła na drogę z Janowa do Kawenczyna i tam rozsypała się w linię bojową. Jednocześnie zaalarmowano inne sotnie i piechotę, bębniąc na alarm. Wystąpiła i piechota na spotkanie wrogów. Armia janowska tak się spieszyła, że kozacy podobno na polu siodła pogubili, a jeden oficer wsiadł na konia bez butów. Jednocześnie policya rozpędzała w mieście włościan zebranych na nabożeństwo, nawet sam burmistrz, eks-strażnik ziemski, przywdziawszy swoją dawną godność, wyganiał ze sklepów kupujących. Policya ludność kułakowała, żołnierze bili kolbami, kozacy nahajkami walili niewinnych i spokojnych przechodniów. Po godzinie okazało się, że wrogów niema i armia na spoczynek się udała. Na śledztwie prowadzonem przez oficerów, ów podoficer co wywołał alarm zeznał, że spotkał 30 uzbrojonych ludzi, którzy dali 3 razy do niego ognia, tak, że ledwie uciekł do koszar kozackich; na zapytanie gdzie podział bagnet, odpowiadał: »nieprzyjaciel odebrał«. Kto puszczał owe plotki o mającem wybuchnąć powstaniu — niewiadomo, złośliwi utrzymują, że sami wojskowi, chcąc w ten sposób zabezpieczyć się od wysłania na teatr wojny. Ale się przerachowali, bo właśnie niedawno przyszedł podobno rozkaz, żeby się szykowali w drogę.

= O nader szybkiem rozszerzaniu się idei »Sokoła« w zaborze pruskim świadczy sprawozdanie Wydziału Związku Sokołów polskich w państwie niemieckiem za lata od 1901 do 1904. W roku 1900 należało do Związku 40 Towarzystw gimnastycznych, w roku 1904 liczba ich wzrosła do 90. Członków liczy Związek obecnie 4117 czyli o 1998 więcej niż przy końcu roku roku 1900. Wzrost jednak sokolstwa szedł przeważnie w kierunku odśrodkowym. Z nowych gniazd 13 leży w Westfalii, 12 w Nadrenii, 5 w Brandenburgii, a tylko 20 na ziemiach dawnej Polski. Zatem w kraju pozostaje jeszcze wiele do zrobienia. Towarzystwa sokole znajdują się pod silną kontrolą ze strony władz pruskich administracyjnych i sądowych, które uważają je za polityczne.

Prócz szykan rządowych, towarzystwa sokole nie rozwijają się w kraju tak intensywnie jakby należało jeszcze i dla tego, że znajdują nader słaby oddźwięk w inteligencyi miejskiej. Sprawozdanie podaje następujący skład wydziału Związku w ubiegłem trzechleciu:

Bernard Chrzanowski, poseł do parlamentu, prezes; Dr. Antoni Chłapowski, poseł do parlamentu i sejmu, zastępca prezesa; Paweł Harkiewicz z Wrocławia, II zastępca prezesa; Karol Rzepecki z Poznania, sekretarz; Wiktor Gładysz z Poznania, naczelnik; Teofil Preiss z Poznania, skarbnik; Julian Lange z Berlina, zastępca naczelnika; nakoniec Radni: Dr. Krysiewicz z Poznania, Stanisław Milewski z Kijewa, Lucyan Osten i Jan Zabłocki z Poznania.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Stanisław Nowicki.**

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.